Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI — Niedziela, dnia 30 stycznia 1938 r. — Nr. 5



Bieli się śnieg
na szczytach gór...

ADAM CZEKALSKI

17)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Rzekłem. Tak będzie, jak to postanowiłem. Twoje dokumenty, potrzebne do ślubu, mam u siebie. Zaraz jadę do księdza i dam na zapowiedzi. Jutro zostaną ogłoszone kolejno wszystkie trzy zapowiedzi, a w poniedziałek pojedziemy ze świadkami do kościoła i weźmiemy cichy ślub. We wtorek powinniśmy już być w drodze do Kalkuty. Nie zapomnij o tym i przygotuj się do drogi.

Lila nic nie odrzekła, a Borowicz, ogarnięty naraz jakąś dziwną żądzą czynu, pożegnał ją i pojechał na dworzec kolejowy. Spotkanego na stacji dozorcę kolejowego zapytał o godzinę przyjścia pociągu katowickiego, idącego z Krynicy, a zanotowawszy ją, wszedł do dyżurnego ruchu.

— Pardon, pan pełni obowiązki dyżurnego ruchu? — zapytał młodego człowieka w czarnej czapce, pochylonego nad jakimiś papierami.

— Tak, a o co panu chodzi — podniósł na pytającego niebieskie, jasne oczy urzędnik.

Borowicz wpił się całą mocą swego spojrzenia w te oczy, a w myślach powtarzał nakaz:

„Odpowiesz na pytania, które ci postawię... Odpowiesz na pytania, które ci postawię..."

Dyżurny doznał dziwnego jak gdyby osłabienia czy sparaliżowania i nie mógł już oczu oderwać od tych dziwnie błyszczących, fosforyzujących, oczu-pochodni nieznanego człowieka.

— Może zechce mi pan powiedzieć, kto prowadzi pociąg nr. 816, który przychodzi na tutejszą stację o godzinie 1,20 w nocy?

Dyżurny powstał z miejsca jak automat i sztywnym, drewnianym niemal krokiem, podszedł do półki z książkami. Zdjął jedną z nich, otworzył na odpowiedniej stronie i odrzekł:

— Stanisław Figurski, maszynista pierwszej klasy.

— A pomocnik?

— Felicjan Machałek.

— Ich adresy? Czy mieszkają oni w Łodzi?

— Tak, w Łodzi — odrzekł jakimś dziwnym głosem dyżurny i podał Borowiczowi żądane adresy.

— Dziękuję — rzekł mister John, dotykając jednym palcem kapelusza i opuścił biuro. Urzędnik stał jakiś czas na tym samym miejscu, na którym pozostawił go Borowicz, poczem położył książkę na półce, wrócił na swoje miejsce i pochylił się nad papierami. wciąż jeszcze pozostając w transie. Po chwili jednak otrząsnął się, jakby spędzał sen z powiek i rozejrzał uważnie po pustej izbie.

— Co, u licha! — zawołał głośno. — Przecież wydawało mi się, że ktoś tu wchodził, pytał o coś i następnie wyszedł. Tfuj, do czorta, czy mnie diabeł za nos wodzi? A przecież wyspałem się należycie.

Tymczasem Borowicz, opuściwszy izbę dyżurnego ruchu, wsiadł do samochodu i pojechał naprzód do mieszkania maszynisty Figurskiego. Przedstawił się żonie,



Prezydent Francji Lebrun, polecił ministrowi finansów z gabinetu Chautemps, Bonnetowi, utworzyć nowy gabinet.

jako Sosnowski, przedstawiciel Ministerstwa Komunikacji i objaśnił cel swojej wizyty w ten sposób:

— Ministerstwo wydaje albumy pamiątkowe wszystkich swoich pracowników i potrzebujemy fotografii. Dlatego objeżdżam osobiście wszystkich funkcjonariuszy i zbieram ich podobizny. Czy więc posiada pani fotografię męża i czy zechce mi ją pani wypożyczyć?

Kobiecina ucieszyła się ogromnie, pojmując w lot o co chodzi.

— To niby, proszę pana — zauważyła tylko jeszcze — fotografia ta będzie na gazecie?

— Tak, „na gazecie".

— O, to ja panu dam taką fotografię mojego starego.

Po tych słowach pobiegła do komody, wyjęła z niej plik papierów i, wyszukawszy fotografię męża w mundurze kolejowym, podała go Borowiczowi.

W podobny swosób odbyła się scena identyczna u pomocnika maszynisty Machałka.

Ze zdobytymi podstępnie fotografiami Borowicz pojechał natychmiast do swego mieszkania przy ul. Piotrkowskiej. Powitał go Dario, zdrów już całkowicie po przygodzie z Kulką, i oznajmił swemu panu, że przyniesiono list.

— Dawaj go! — rzucił ostro mister John i, wziąwszy list z rąk służącego, poszedł do pokoju, w którym zwykł był odprawiać swe tajemnicze misteria.

Tutaj usiadł przy oknie, machinalnie zapuścił rolety i rozerwał kopertę. Jeden rzut oka na treść listu i twarz Borowicza zapałała się niesamowitym gniewem. List pochodził od Lili i zawierał bardzo nie wiele słów.

„Panie! — pisała Lila. — Wobec agresywności pańskiego postąpienia dzisiaj — zrywam zaręczyny i oznajmiam Panu, że za mąż nigdy za niego nie wyjdę. Wszystkie parafie w Łodzi urzędowo zawiadomiłam, iż za mąż dobrowolnie za Pana nie wyjdę, wobec czego może się Pan tam nie fatygować. Spodziewam się, że nie zechce Pan narażać mnie na przykrość odmówienia Panu przyjęcia w naszym domu i więcej się tutaj nie zjawi. Żegnam. Alicja Krupińska".

Borowicz zmiął gwałtownie papier w silnej dłoni i rzucił go na podłogę. Czas jakiś siedział nieruchomo, opanowując wzburzenie, po czym zasłonił zupełnie okno, wydostał z ukrycia manekin i fotografię Lili i rozpoczął swoje misteria. Przede wszystkim tedy zapadł w trans i w transie tym, szepcząc jakieś zaklęcia, jakieś słowa, zdjął kańczug ze ściany i ciął straszliwie raz i drugi manekin. I wydało mu się, że słyszy krzyk, straszliwy krzyk katowanego człowieka, a krzyk ten podniecał go jeszcze bardziej, więc już zaczął ciąć manekin kańczugiem gdzie padło, a ów tajemniczy krzyk huczał w jego ciemnym pokoju skargą i żalem i bólem ogromnym i jęczał łzawymi tonami, co zdolne były kamienie poruszyć. Nie poruszyły one jednak Borowicza.

Na straszliwy krzyk Lili, pani Krupińska wpadła do jej pokoju i zobaczyła rzecz niesamowitą, niepojętą, niezrozumiałą... Oto biedne dziewczątko wiło się w jakichś tajemniczych bólach, w jakimś przeokropnym lęku, rzucało się z kąta w kąt pokoju, szamotało, nie znajdując nigdzie ucieczki, nigdzie schronienia.

— Lilu! Lilu! Na Boga, co się z tobą dzieje?

— Och, boli, boli — zajęczała Lila, drżąc jak liść na wietrze.

— Co tobie, dziecko? Co to wszystko znaczy?

— On, znowu on...

— On? Co za on?

— Och, jaki ból, jaki straszny ból, mamo... Patrz!

Lila odsłoniła nieco pierś i matka zobaczyła z przerażeniem sino-krwawe pręgi, takie same, jakie widziała na ciele Lili dawno już temu, pokrywające piersi i szyję córki. Drżącymi rękami rozebrała ją i przerażenie chwyciło ją za włosy. Oto zobaczyła dalej, że prawie całe plecy biednej Lili pokryte były sińcami, jakby je co tylko ktoś był potwornie skatował.

— Okropność! Okropność... — wyszeptała, nie mogąc nic zrozumieć i nie wiedząc, co pierw robić: czy wołać kogo na pomoc, czy samej pomocą się zająć. A gdy następnie spojrzała na twarz Lili, zobaczyła, że jest ona przeraźliwie blada, tak blada, jakby w niej jednej kropli krwi nie było.

— Lilu! Lilu! — zaczęła potrząsać nią matka — ale Lila nie dawała znaku życia. Wtedy pani Ewa podniosła wielki krzyk, wzywając pomocy, choć sama nie wiedziała, kogo przyzywa na pomoc. Ale wnet zjawiła się Marysia, przybiegła pokojowa, które ułożyły zaraz panienkę na łóżku i wezwały doktora Mazurkiewicza.

Stary eskulap, powiadomiony w chaotycznych słowach o zajściu, zebrał się natychmiast do drogi, a jadąc do Krupińskich, wskoczył po drodze do Krajewskiego i zabrał go ze sobą.

— Coś tajemniczego stało się tam znowu — poinformował go już o dorożce. — Teraz będzie pan miał możność osobiście sprawdzić i zobaczyć wszystko na miejscu.

Kiedy przybyli do Krupińskich, pani Ewa niemal tak samo przytomności pozbawiona, jak nieruchoma i omdlała Lila, nie umiała porządnie nic opowiedzieć. Słyszała przeraźliwe krzyki Lili, więc natychmiast przybiegła do niej i zobaczyła ją rzucającą się z kąta w kąt i zasłaniającą

się rękami przed niewidzialnymi ciosami, które jednak spadały na nią i sprawiały dotykalny ból fizyczny. Z trudem się uspokoiła dopiero wtedy, gdy przyszło omdlenie.

— Ślady bestialstwa jakiegoś niewidzialnego zbrodniarza możecie panowie na własne oczy zobaczyć — zakończyła z łkaniem pani Ewa.

Doktór zabrał się natychmiast do cucenia omdlałej Lili i w końcu udało mu się to po dość długich zabiegach. Lecz obecny stan Lili tylko bardzo nieznacznie różnił się od poprzedniego, bowiem pojawiła się u niej gorączka, która zdawała się do czerwoności rozpalać włókna jej ciała. W tym stanie o wybadanie ofiary bestialstwa, czego pragnął Krajewski, nie można się było nawet kusić.

A Borowicz, skończywszy swoje tajemnicze praktyki, ukrył wszystko do schowków i wyciągnąwszy z kieszeni fotografie maszynisty i jego pomocnika, wpatrzył się w te ostre rysy ludzi pracy, nie przeczuwających zapewne w tej chwili, że ktoś nieznany im zgoła, a tajemniczy i groźny, przygotowuje na nich zamachy.

Długo wpatrywał się w twarze tych dwóch ludzi i wydało mu się jak gdyby obaj oni stanęli w tej chwili przed nim w swoich realnych, cielesnych postaciach i zdawali się czekać na coś, co miało spaść na nich.

Ale mister John przyjrzał się tylko twarzom tych ludzi, wywołał ich wizje i na powrót ukrył fotografie w schówku, a sam ubrał się i zamierzał wyjść. Po drodze, gdy Dario otwierał mu drzwi, rzekł:

— Przygotuj wszystko do drogi, za dwa dni odjeżdżamy.

— I młoda lady jedzie z nami, Sir?

— Nie twoja rzecz. Przygotuj wszystko do drogi i zlikwiduj wszelkie sprawy.

— Słucham, Sir.

Mister John wyszedł i wskoczył do przejeżdżającej właśnie wolnej taksówki, kazał się zawieźć do swojego drugiego mieszkania, aby ostatecznie rozprawić się z Barłampem. I nie spostrzegł wcale, że tuż za nim biegną ostrym kłusem dwaj ludzie, którzy zdawali się go śledzić. Jednakże nogi ludzkie nie mogły dorównać pojazdowi mechanicznemu, więc prędko biegnący pozostali w tyle, a auto zniknęło gdzieś na pierwszym zakręcie ulicznym.

— Psiakrew! — zaklął Laluś. — Też miałeś pomysł, idioto ciężkiego kalibru, aby piechotą gonić samochód.

— Czekaj, nie denerwuj się, Morycku kochany. Ten szofer tędy przecież będzie wracał, więc od niego dowiemy się, gdzie woził szlachetnego dżentelmena.

— A jeśli po drodze trafi mu się gość i powiezie go w drugi koniec miasta?

— Pamiętam numer wozu, wiemy, gdzie ma miejsce postoju, żółtodzióbku, a w tym wypadku cóż łatwiejszego, jak tego pana odnaleźć? Łódź nie jest tak wielka, jakby się pozornie wydawać mogło.

— Ale zawsze było lepiej wskoczyć do drugiego wozu i deptać po piętach dostojnemu doktorowi.

— Może i lepiej, ale gdy się raz głupstwo zrobiło, trzeba starać się je naprawić — odrzekł Bulwa i ruszył żwawiej w stronę, gdzie na pierwszym zakręcie znikło im auto.

A tymczasem auto wiozące Borowicza wydostało się wnet poza miasto i pomknęło w stronę Widzewa, gdzie w lasku znajdowało się trzecie z kolei mieszkanie mister Johna, znane tylko jemu i Dario, w którym ukryty był Barłamp. Na ogół Oleś nie mógł narzekać tutaj na biedę, gdyż powodziło mu się świetnie. Mieszkanie miał wygodne, wyspanie także, a co do jedzenia, to wydziwić się nie mógł, skąd Borowicz wytrzasnął w Łodzi tak znakomitego kucharza. Jedna rzecz tylko była przykra, a to więzy, w jakie zaopatrzył go Borowicz, jakieś wymyślne pętle, nad którymi Barłamp całymi dniami się głowił, ale w żaden sposób rozwikłać ich nie mógł. I nadto — knebel, który mu zakładano na usta, gdy zostawał sam w swoim schowku oraz świadomość, że jest on tam teraz na swobodzie potrzebny jak nigdy dotąd, a jednak musi siedzieć w bezczynności i nawet palców gryźć nie może z bezsilnej wściekłości.

— Widocznie... „minęły piękne dni Aranjuezu" dla mnie — rzekł sobie w pewnej chwili i położywszy się na miękkim łóżku, patrzył w sufit i rozmyślał.

Był tak zadumany, że nie słyszał, że gdzieś opodal przystanęło auto, że zachrobotał gdzieś klucz w zamku i rozległy się czyjeś kroki. Dopiero gdy drzwi do jego schówka trzasnęły, podniósł głowę i zobaczył Borowicza.

— Moje uszanowanie doktorowi — odezwał się złośliwie Barłamp — jakże tam zdrówko szanownego konsyliarza?

Mister John zbył milczeniem to zapytanie i zrzuciwszy z ramion okrycie, zapalił papierosa i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

— Cóż to, zdenerwowani jesteśmy, doktorku szanowny? — rzekł znowu Oleś. — Niepowodzenia na drodze do zagarnięcia miliona w złocie po Krupińskim?

— Milcz!

— Już od wielu dni nie mam z kim nawet słowa zamienić i z konieczności muszę milczeć, boć nieustannie sam z sobą rozmawiać nie będę. Ale skoro pan sobie życzy, bym milczał — spełniam wolę dostojnego eskulapa.

— Barłamp! — zawołał naraz Borowicz.

— Panie Barłamp, szanowny konsyliarzu, panie Barłamp... — odrzekł z wolna Oleś. — Nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek pili „bruderschaft", więc takie tykanie mojej godnej osoby nie jest na miejscu.

— Słuchaj pan, panie Barłamp...

— Nadstawiam uszu i słucham cierpliwie.

— Powiedziałem ci kiedyś, że zginiesz w dniu, w którym osiągnę pełne zwycięstwo.

— Pamiętam, że o czymś takim opowiadał mi pan.

— I właśnie dzień taki nadszedł dzisiaj.

— Bardzo mi przykro, ale skoro to już nieuniknione?

— I nie ochroni cię przed zgubą nic, żadne pańskie antidotum, żaden przyjaciel. Znowu mam władzę nad panem, znowu jestem mocnym człowiekiem, przed którym wszystko ugiąć się musi.

Barłamp zadrżał, bo groźba ta wydała mu się bardzo realną i kto wie, czy nie prawdziwą. Nie pokazał jednak po sobie żadnego lęku, ale przyglądając się Borowiczowi spod nasuniętych na oczy brwi, myślał szybko nad tym, do czego ten niebezpieczny człowiek zmierza.

— Po co mi to pan to wszystko opowiada? — spytał z głupia frant Barłamp.

— Czy aby mnię zastraszyć? Wiesz pan dobrze, że ja się pana wcale nie boję i jeżeli będzie trzeba umrzeć, nie zobaczysz u mnie najmniejszego strachu przed śmiercią.

— I nie po to wtajemniczam cię, młodzieńcze, w te sprawy.

— A tylko?

— A tylko, aby przez uświadomienie sprawić ci boleśniejszą mękę konania — pojmujesz?

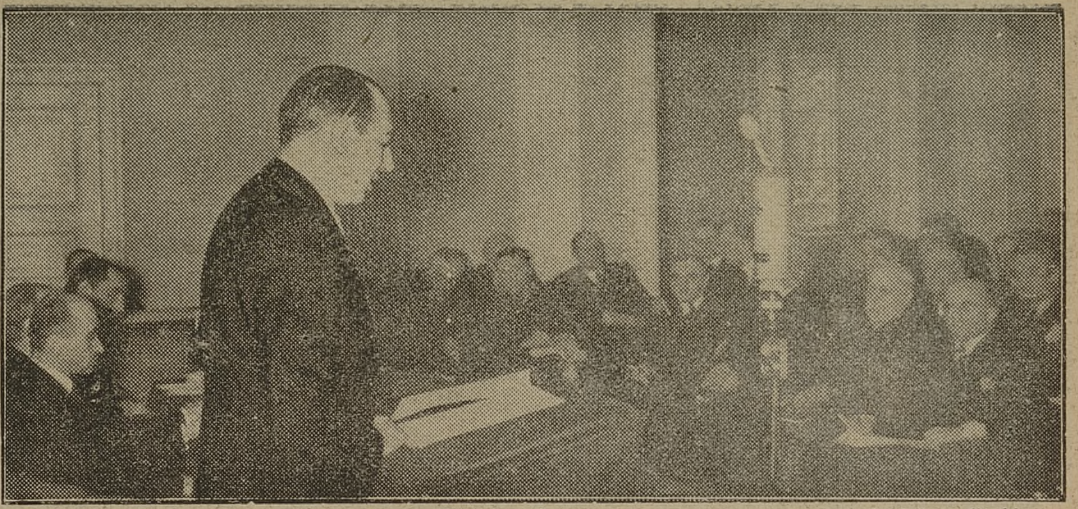
— Nie wiedziałem, że jesteś pan nie tylko oprawcą, ale także i niską kreaturą, lubującą się w sprawianiu drugim cierpień. Tylko w tym wypadku zachodzi jedno maleńkie nieporozumienie — bo ja bynajmniej nie przejmuję się tym wszystkim, czegoś tam pan dokonał.

— Tak, jestem znowu mocny, jestem znowu sobą — powtórzył w zamyśleniu Borowicz. — Nic znowu nie staje na przeszkodzie do moich wielkich celów, do władzy, do rozkazywania. Wszystko ugnie się przede mną, wszystko musi mi służyć.

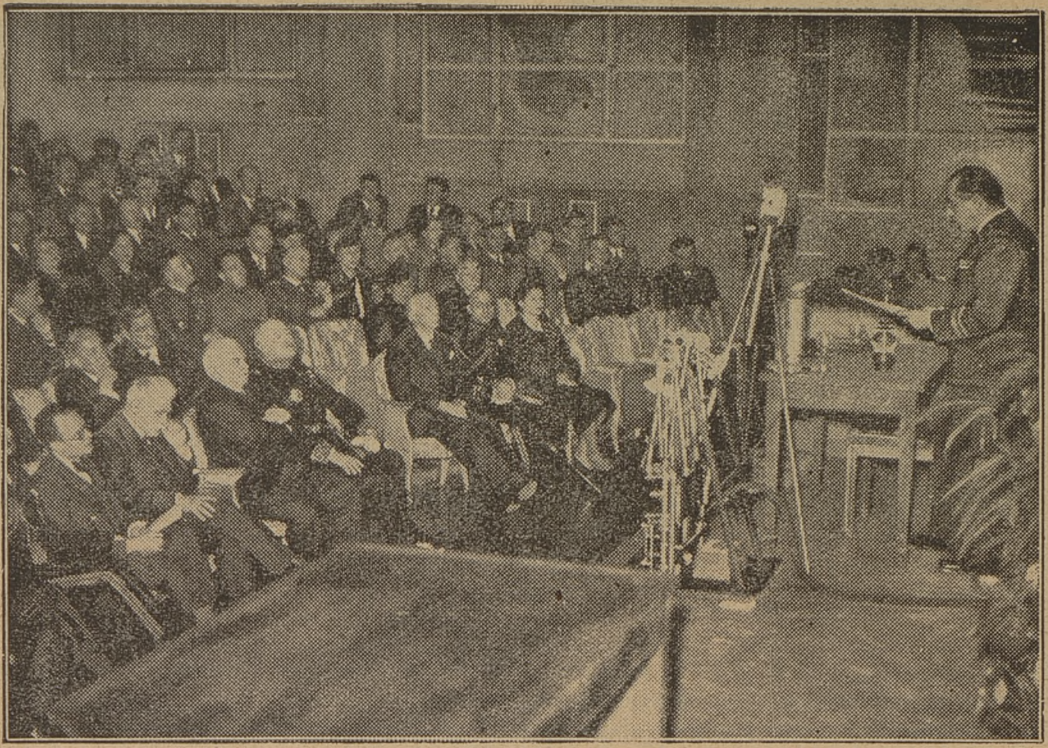
— Nawet kat — mruknął Barłamp.

— Cóż wy znaczycie wszyscy? Co znaczy wszelka wasza moc i władza? Proch, marny proch wobec utajonych sił, jakie drzemią we mnie. Żałuj pan, że nie dożyjesz dzisiejszej nocy, żałuj, bo mógłbyś oglądać moją potęgę, która żywiołom nawet jest w stanie rozkazywać.

— A toż słucham i słucham o tej pańskiej przechwalonej sile, a jednak jakoś



Minister Beck wygłosił ostatnio w Sejmie obszerne exposé na temat polskiej polityki zagranicznej.



W pierwszą rocznicę pierwszego przelotu samolotem ponad 1 km., odbyła się we Francji uroczysta akademia, w której wziął udział sędziwy rekordzista sprzed 30 lat, Henri Farman.

nie mogę jej zobaczyć — zauważył już nieco zdenerwowany Oleś. — Jeżeli istotnie jesteś pan tak mocnym, tak potężnym, doświadczże tej siły choćby tylko na mnie. Jesteśmy obaj tylko, prawda? Pan masz moc rozkazywania moim myślom i mojej woli. Wypróbujże ją!

Borowicz zatrzymał się nagle przed Barłampem i przeszył go swoimi oczami — pochodniami. Oleś spojrzał mu mocno w oczy i dojrzał w nich tajemnicze i groźne błyski jak w źrenicach tygrysa, który zamierza za chwilę rzucić się na ofiarę.

— Wyzywasz mnie?

— A gdyby? — rzucił już jawne wyzwanie Oleś, próbując powstać.

— Dobrze. Aby ci moc moją pokazać, dam ci tego zaraz próbę.

I po tych słowach postąpił krok ku Barłampowi, pomanipulował coś tam przy jego więzach na rękach i nogach, zdjął mu zupełnie już przedtem odsunięty z twarzy knebel i wszystko to rzucił w kąt.

— Daję ci próbę mojej mocy — powtórzył z naciskiem Borowicz.

— Bardzo rad będę wypróbować ją na sobie — odrzekł spokojnie Oleś, rozcierając zgrabiałe i zesztywniałe kończyny. — Nie lubię ja wprawdzie być królikiem doświadczalnym, ale ponieważ w danym razie chodzi przecież o rzecz niezwykłą, więc — służę waszej dostojności.

Borowicz stał naprzeciw Barłampa z rękami w tył założonymi, a oczy jego błyszczały złowrogo żółtawymi błyskami, jak oczy tygrysa w dżungli. Wpatrywał się w oczy Barłampa z jakąś namiętną, drugocącą siłą i był pewien, że już w następnej chwili człowiek ten, ta jego ofiara, podda się jego woli i spełni wszystko, cokolwiek od niego zażąda. Ale Barłamp, który początkowo naprawdę się lękał obezwładnienia, wpatrując się teraz w rozpalone zwierzęcymi, magnetycznymi błyskami źrenice Borowicza — zrozumiał prawie błyskawicznie, że oczy mister Johna nie działają bynajmniej na niego ujarzmiająco. I prawie równocześnie myśl jego, szybka jak błyskawica, pojęła w jednej chwili nadchodzącą okazję ratunku, więc gorączkowo począł szukać w mózgu pomysłu, który by mu ułatwił wydostanie się spod władzy tej zbrodniczej jednostki, która tak wspaniałą moc woli obracała na tak podły użytek.

A oczy Borowicza płonęły wciąż, zmieniając swe błyski i ogarniając całą postać przeciwnika. Wtedy to Barłamp doznał wrażenia, że jest małym ptaszkiem hipnotyzowanym przez węża, który usiłuje obezwładnić go i pożreć. I, jak to zazwyczaj w takich wypadkach bywa, ratunek przychodzi zupełnie niespodziewanie, niezależnie, jak się zdaje, od naszej woli i naszego rozumu. Tak też było i tym razem. Nagle Olesia olśniła myśl udania, że poddaje się woli Borowicza, że jest przez niego całkowicie opanowany, podbity, szholdowany, że jest narzędziem w jego rękach, narzędziem posłusznym i bezwolnym. Przypomniały mu się wypadki, widziane na seansach spirytystycznych, gdzie media zapadały w trans. Opuścił więc bezwolnie ręce wzdłuż ciała, wyprężył się, jakby sztywniał i kostniał, oczy przymknął, ale tylko na tyle, aby widzieć jednak mimo wszystko czynności Borowicza, skupił się cały w sobie i — czekał... czekał na rozkaz, który za chwilę miał paść z ust mister Johna.

Jakoż nie potrzebował czekać na to długo. Mister John, ten doskonały znawca ludzi i swojego kunsztu, tym razem jednak pomylił się. Udanie wziął za rzeczywistość, sztukę za prawdę i sam będąc jakby w transie, rzucił Barłampowi rozkaz:

— Wykonasz to, co ja ci rozkażę, rozumiesz?

— Tak... — odrzekł Barłamp głosem osłabionym i posłusznym.

— O dwieście metrów stąd przebiega tor kolejowy — widzisz go? — syczał zduszony głos Borowicza.

— Widzę... — odrzekł słabo Barłamp.

— Pójdziesz tam — pójdziesz. Widzisz się w tej chwili idącym ku nasypowi kolejowemu — jest ciemno... Dokoła nie ma nikogo... Za dziesięć minut będzie tędy przebiegał pociąg do Kutna. Położysz się na torze... Rozumiesz?

— Tak — przytwierdził znowu Barłamp.

— Popełnisz samobójstwo.

— Tak, popełnię samobójstwo — powtórzył znowu Barłamp jak echo, a jednocześnie z przerażeniem poczuł, że wola jego słabnie, że naprawdę zaczyna wpadać w trans, poddawać się woli Borowicza, który opanował go zupełnie i teraz kierował już nim bez żadnego oporu.

Co było dalej, Barłamp nie był już tego świadom. Puściwszy się na niepewne wody próbnego eksperymentu, zagrawszy komedię poddawania się woli hipnotyzera, Oleś zapomniał jednak o jednej bardzo ważnej rzeczy, a mianowicie, że osłabiając w swoim mózgu opór przeciwko nakazom mister Johna, tym samym poddawał się jego woli i jego utajonej sile, która istotnie była olbrzymia.

— Tak... śpisz — teraz śpisz — syczał imperatywny głos Borowicza. — Ale mimo to pojmujesz wszystko, co masz spełnić. Pojmujesz?

— Tak, pojmuję... — wyszeptał Barłamp w transie.

— Idź ku drzwiom! — rozkazał znowu Borowicz, kierując wolą swoją krokami Barłampa. I Oleś wykonał rozkaz, zmierzając ku drzwiom, jak lunatyk. Był sztywny, wyprostowany, a jednocześnie blady i oddychał szybko, urywanie. Chwilami czerwone wypieki zjawiały się na jego policzkach, ale znowu ustępowały miejsca woskowej wprost bladości.

Borowicz poszedł za Barłampem i nieustannie szeptał zciszone rozkazy, kierując jego krokami. A Oleś, wydostawszy się na werandę, zaczął zstępować wolno po schodach ku ścieżce, która prowadziła do toru kolejowego. Dokoła była już ciepła, lecz ciemna noc letnia. W dali błyszczały miliony świateł elektrycznych Łodzi, a na tle blasków łun świetlnych, rysowały się w niektórych miejscach olbrzymie gmachy i potworne ramiona kominów fabrycznych, których czuby, niekiedy spowite w pióropusze dymów, niknęły gdzieś w otchłaniach czarnego nocnego nieba.

Barłamp szedł wolno, krok za krokiem, niby człowiek uśpiony lub lunatyk. Chwilami, na nierównościach, macał teren nogą, przekraczał następnie niewielkie wyboje i nierówności gruntu, omijał krzaki, którymi porosły był dość gęsto teren, aż do samego toru kolejowego i szedł, wciąż szedł naprzód ku swojemu przeznaczeniu.

Borowicz stał na werandzie i wzrokiem swoim zdawał się ciemność przenikać, wciąż szeptał nakazy człowiekowi, idącemu daleko przed nim, w końcu zaś, wyciągnąwszy w przód ramiona, zawołał rozkazująco:

— Stój! Stój i czekaj!

Człowiek na torze kolejowym zatrzymał się i dreszcz febryczny przebiegł jego ciało.

— Połóż się! — rzucił znowu w przestrzeń rozkaz Borowicz i sam wykonał ruch, jak gdyby i on zamierzał położyć się na werandzie.

Mister John nie mógł już teraz widzieć postaci Barłampa, bowiem przestrzeń zbyt była odległa i noc nazbyt ciemna. Ale wyczuwał go, boć to jego wola zaprowadziła go na to miejsce.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

67)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Obaj łotrzykowie usiedli sobie wygodnie w głębokim rowie, a Maks otworzył brudną swą walizę i wyciągnął z niej bochenek chleba, duży kawał kiełbasy i wiele obiecującą, zieloną butelkę, którą też zaraz do ust przyłożył, aby się po strapieniach podróży pokrzepić.

Józef rzucił się tymczasem na chleb i kiełbasę, z której odkrawał scyzorykiem duże kawały napychając pełną gębę, tak, że mówić nie mógł i tylko gestami dał towarzyszowi swemu do poznania, że chciałby także łyknąć z flaszki.

Maks podał mu flaszkę, ale pozwolił mu tylko jeden łyk, a wziąwszy flaszkę po raz drugi do ust, nie odjął jej, dopóki do dna nie wypróżnił.

Posiliwszy się porządnie, uczuli się obaj odważniejsi.

— Teraz możemy puścić się w dalszą drogę — rzekł Maks. — Ty pewnie także idziesz do Wiednia?

— Pewnie — odparł zapytany — tam najlepiej można wypocząć.

— Skąd właściwie przybywasz? — zapytał znów Maks. — Słyszałem raz, że cię gdzieś w Prusach zaaresztowali, ale to musiała być nieprawda, bo inaczej nie byłbyś przecież tutaj.

— Mądra głowa ze wszystkiego się wywinie — chwalił się Józef — pewnie, że mnie aresztowali! Ale ja byłem mądrzejszy od nich i uciekłem.

— O, to ci się udało! — podziwiał go Maks. — Wiesz co, opowiedz jak to było, bo lepiej się maszeruje gadając.

— Wiesz przecież — zaczął Józef, że ja z Marynią wyjechałem wtedy wcześnie.

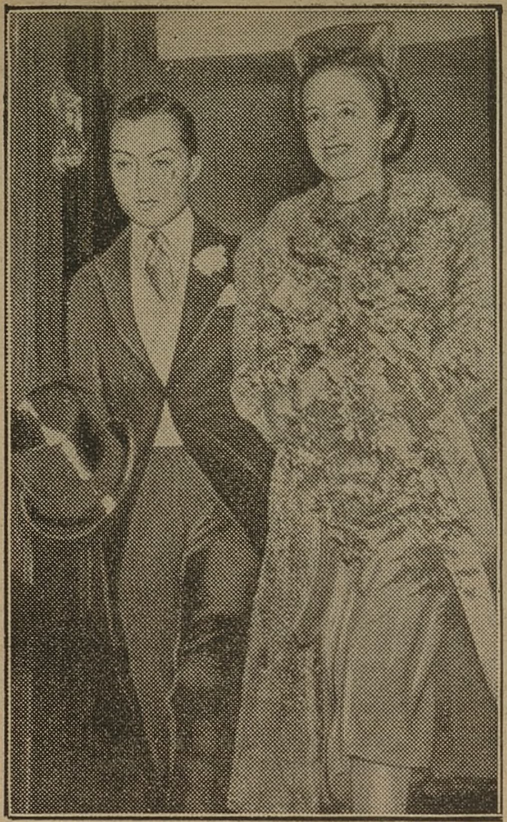
— Tak, słyszałem od Henryka — rzekł Maks — żeś na spółkę z nią uprzątnął trochę mieszkanie jakiejś starej panny i żeś się bał jej wdzięczności za to.

— Słusznie! — odparł Józef poważnie. — Stamtąd wyjechaliśmy do Berlina, gdzie także wcale jest ładnie, mimo, że porównać go nie można z Wiedniem. Potem rozłączyliśmy się, aby się po kilku tygodniach znów spotkać we Wrocławiu. Wtedy powodziło nam się bardzo źle. Pieniądze zabrane u tej starej panny już były wydane. Ja zacząłem żebrać, a Marynia robiła tylko tu i ówdzie małe interesy, z których także wyżyć nie mogła. Zdecydowaliśmy się więc zrobić na spółkę wielki interes i to było naszym nieszczęściem. Ledwie bowiem dostaliśmy się do próżnego mieszkania, zaczęliśmy się trochę oglądać, co by można było zabrać, przyłapano nas.

— Co za pech! — zawołał Maks ze współczuciem.

Zabrano nas do więzienia na czas śledztwa — kontynuował Józef. — Marynia kłamała jak najęta, ale tylko sobie tym zaszkodziła i dostała 7 lat więzienia. Mnie dali tylko 5 lat, bo mieli mnie za nowicjusza, skuszonego przez Marynię do kradzieży — dodał, śmiejąc się.

— Zupełnie tak wyglądasz, szydził Maks — ale jakże wydostałeś się na wolność?



Książę sjamski, Brabongse, który pod nazwiskiem ks. Bari brał niezliczone razy udział w wyścigach samochodowych, ożenił się ostatnio z miss C. Heycock w Londynie.

— No, widzisz! — opowiadał Józef dalej — nie chciało mi się siedzieć 5 lat i przemyśliwałem ciągle nad tym, jakby się stamtąd wydostać. Pewnego dnia, po obiedzie, gdy nas wypuszczono na podwórze, było ogromnie mglisto; ściemniło się prędzej niż zwykle i wtedy skorzystałem z tej sprzyjającej okoliczności i postanowiłem uciec. Schowałem się za wystający kawał muru, a gdy ukazał się dozorca więzienny, aby nas znów zapędzić do naszych dziur, nie poszedłem za nim. Ten osioł nie zauważył tego na razie i nim się spostrzegł i wrócił, ja już wyważyłem jedną połowę bramy więziennej. Już chciałem zmykać, gdy nadbiegł zadyszany dozorca i chciał mnie przyłapać. Wtedy uderzyłem go wyważoną bramą po głowie, że od razu padł trupem i wybiegłem z podwórza. U wyjścia stał żandarm na straży. Podsunąłem się do niego niespostrzeżenie i jednym zręcznym uderzeniem zrzuciłem mu hełm na oczy i wybiegłem jak szalony na ulicę. W chwilę później „złodzieja"! ale ja zmieszałem się z tłumem i szedłem dalej spokojnie jakby to wcale nie o mnie chodziło. Mgła stawała się coraz gęstszą i to było moim szczęściem. Przeszedłem całą noc i nad ranem dostałem się do jakiejś spokojnej wsi, gdzie ani kogut za mną nie zapiał. Ale tu na samej granicy teraz nie czuję się całkiem bezpieczny i obawiam się trochę jakichś nieprzyjemności.

— Już to jakoś będzie — pocieszał go Maks — miałeś przecież dotychczas szczęście. Ja nie byłem taki szczęśliwy; ledwo że dziś rano wyciągnąłem ten prowiant z jakiejś otwartej spiżarni. Zróbmy teraz na spółkę jakiś dobry połów i wyekwipujmy się porządniej, bo teraz naszym wyglądem wzbudzamy tylko podejrzenie.

Józef potakiwał i gdy zaszli do najbliższej wsi, postanowili wypocząć, by wykonać jakąś sztuczkę przy nadarzającej się sposobności.

Weszli do najgorszej i najnędzniej wyglądającej karczmy i kazali sobie dać po kieliszku wódki za ostatnich kilka groszy, które Maks miał w kieszeni.

Józef nie miał ani szeląga; nie mogli więc nic więcej obstalować. Aby jednak przedłużyć pobyt swój w szynku, zapytał Maks usługującego chłopaka:

— Czy masz tu bardzo ciężką służbę, mój chłopcze?

— Oj, dlaczegoby nie! — zaczął on lamentować i narzekać na właścicieli karczmy. Maks wysłuchał cierpliwie całej litanii, a wreszcie rzekł:

Tak, biednemu zawsze bieda, wiem ja to z doświadczenia! Popatrz na nas, nie wyglądamy także na bogaczy, co? Ty przynajmniej masz dach nad głową i pełną misę, a my nie mamy ani centa w kieszeni i nie wiemy gdzie się tej nocy przespać. Czy jest tu we wsi jakaś litościwa dusza, coby się nad nami zlitowała?

— Jest tu bardzo dobry proboszcz — rzekł chłopak — spróbujcie u niego szczęścia!

— Czy on bardzo biedny? — informował się Maks.

— Chciałbym ja mieć to, co on ma — odparł chłopak — jest synem bogatych włościan i ma sam duże dochody, bo nasza wieś jest bardzo bogata.

— Gdzie jest plebania? — zapytał Maks słuchając uważnie.

— Zaraz koło kościoła zobaczycie duży dom z ogrodem — opisywał zapytany.

— Chodźmy — zwrócił się Maks do swego towarzysza, a chłopakowi krzyknął:

— Dobranoc, mój synu! Życzę ci, abyś kiedyś był bogatym człowiekiem.

— Albo byś wisiał na szubienicy — dodał drugi, śmiejąc się za drzwiami — przynajmniej dał nam dobre informacje, ten idiota!

Milcząc, szli przez wieś do kościoła, obok którego zobaczyli duży dom z ogrodem.

— To tutaj być musi — rzekł Maks — zostań ty na straży, a ja przeskoczę przez płot i zobaczę, co się da zrobić.

Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno i pusto. Maks przekroczył płot bez przeszkód i wrócił niebawem trochę zakłopotany.

— Nie będzie to tak łatwo — rzekł zniechęcony — okna są wszystkie za żelaznymi kratami, i nie ma mowy o tym, aby dostać się przez nie do wnętrza. W każdym razie można się tu obłowić, bo inaczej tak by się nie zabarykadowali. Co by tu zrobić?

— Nie mam pojęcia — odparł Józef po krótkim namyśle.

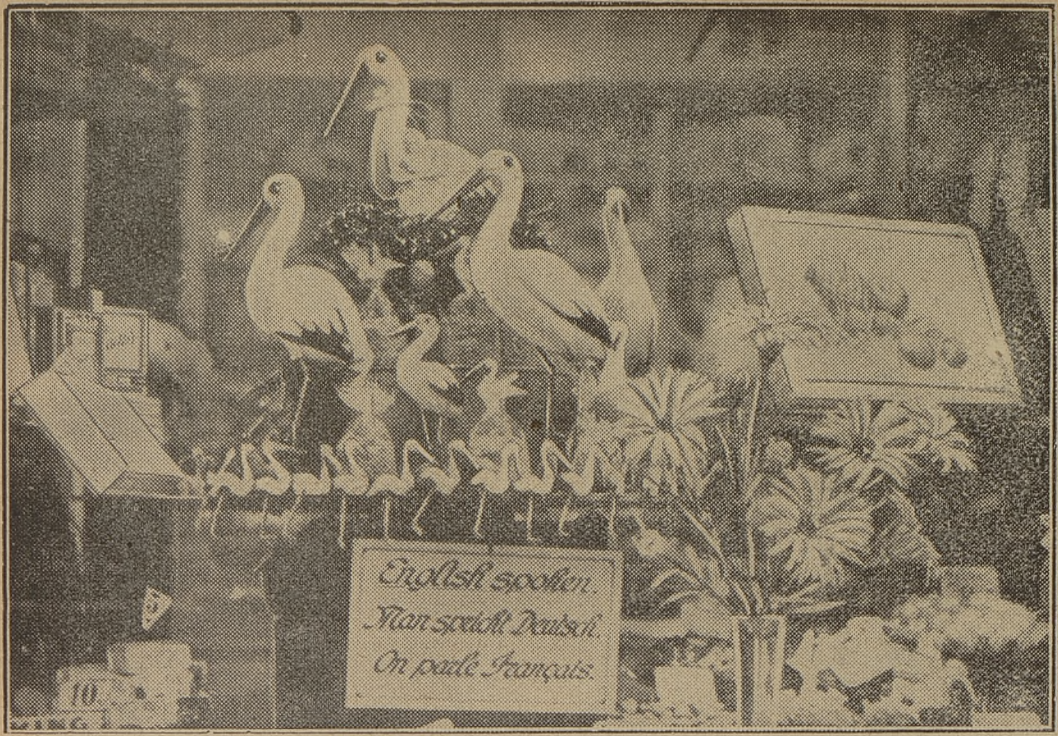
— Wierzę — zaśmiał się Maks szyderczo — mógłbym czekać do sądnego dnia na mądry pomysł z twojej strony. Na szczęście wpadło mi coś na myśl. Czy umiałbyś udawać chorego? Jesteś blady i szczupły, to ci ludzie prędzej uwierzą niż mnie, bo ja jestem zanadto czerwony i gruby, abym mógł uchodzić za słabego.

Szeptem zaczął mu wyłuszczać swój plan, a Józef słuchał uważnie i od czasu do czasu przerywał mu pytaniem.

Wreszcie zrozumiał o co chodzi.

Właśnie wybiła dziesiąta i Maks zawołał:

— Teraz czas! Zabieraj się!



Cała Holandia czeka na urodziny następcy wzgl. następczyni tronu. Zainteresowanie swe wyrażają obywatele również przez urządzenie pomysłowych i symbolicznych wystaw sklepowych.

Józef oddalił się, mrucząc coś pod nosem. Widocznie powtarzał swą rolę. Przystąpiwszy do drzwi plebanii, zapukał. Czekał przez chwilę, a że się nikt nie odzywał, zapukał powtórnie.

Wkrótce usłyszał na korytarzu kroki i głos kobiecy zapytał:

— Kto tam i czego żąda?

— Biedny podróżny — odpowiedział Józef słabym głosem — który prosi o miłosierne wsparcie.

Drzwi się otworzyły i Józef zobaczył przed sobą starszą, porządnie, lecz dziwacznie ubraną kobietę ze świecą w ręku.

— Na miłość Boską — zaczął Józef lamentować — proszę o łyżkę ciepłej strawy, bo od kilku dni nie jadłem już nic ciepłego.

Gospodyni czy klucznica (bo na taką kobieta owa wyglądała) popatrzyła raz jeszcze uważnie na przybysza i stwierdziła, że rzeczywiście bardzo był wynędzniały.

— Przyniosę wam coś ciepłego — rzekła dobrodusznie — siądźcie tu tymczasem.

Józef usiadł na jednej z ławek stojących w sieni, a poczciwa kobieta oddaliła się z lampą.

Gdy wróciła z talerzem pełnym mięsa i kapusty, zastała Józefa z zamkniętymi oczyma i głową opartą o ścianę. Ramiona zwisły mu bezwładnie, a twarz okropnie wykrzywiła się.

— Na Boga, co się stało? — przeraziła się biedaczka — on jeszcze mi tu umrze!

Pobiegła po wodę i skropiła nią twarz chorego, która skrzywiła się jeszcze bardziej. Aż wreszcie otworzył przecież oczy i zaczął dziko spoglądać wokoło.

— Czy wam teraz lepiej? — zapytała przestraszona kobiecina. — Może zjecie trochę?

Ale żebrak zaczął znów stękać i lamentować.

— O, ja nieszczęśliwy — narzekał — takim chory, że się ruszyć nie mogę i zanadtom osłabiony, abym mógł jeść. Proszę pozwolić, abym choć kilka minut wypoczął, może później będę mógł pójść dalej!

— Może chcecie trochę wina? — pytała ona troskliwie.

— Jeżeli łaska — mruknął przypuszczalny chory — może by mi to dodało trochę sił. Jestem osłabiony okropnie.

Klucznica pobiegła prędko po wino, a gdy wróciła, zastała znów chorego żebraka zemdlonego na ziemi. Krzyknęła przerażona i pochyliła się nad Józefem, który leżał nieruchomo i wstrzymał oddech.

Przestraszona pobiegła po proboszcza, pytając o radę.

Gdy wróciła z duchownym, starym, godnie wyglądającym mężczyzną, Józef jęczał słabo i starał się podnieść z podłogi.

— Co ci jest, mój synu? — spytał proboszcz z współczuciem. — Napij się trochę wina, to ci pomoże.

— Bóg zapłać, przewielebny księże — szepnął Józef, biorąc szklaneczkę z winem i pijąc je chciwie — może teraz będę mógł wstać i nie być państwu dłużej ciężarem.

Podniósł się z trudnością, dowlókł się chwiejnym krokiem do ławki i usiadł.

— Nie mogę utrzymać się na nogach, księże dobrodzieju — jęknął znów — jeszcze kilka minut wypoczynku tylko, może mi się polepszy.

— Dobrze, mój synu — rzekł proboszcz uprzejmie — a czy w ogóle będziesz mógł dowlec się do karczmy?

— Do karczmy i tak nie pójdę, bo nie mam ani centa — lamentował Józef, świetnie udając chorego — ale dowlokę się do jakiejś najbliższej otwartej stodoły i tam się położę. A jak nie znajdę stodoły, to się położę na ziemię. Dla biednego wszystko wystarczyć musi!

— Ależ, to niemożliwe, aby ten biedak nocował pod gołem niebem — zawołał ksiądz litościwie. — Rabeto, musisz mu urządzić jakieś łoże i dać się coś ciepłego napić; jesteś przecież dobrą pielęgniarką. A jak mu się do jutra nie polepszy, to go odeślemy do szpitala.

Rabeta chciała oponować, ale proboszcz nie znosił oporu. Oddaliła się więc, aby wypełnić jego rozkaz, a ksiądz czuwał tymczasem przy chorym.

Po chwili wróciła gospodyni i rzekła:

Przygotowałam mu kąpiel, aby się w tym stanie nie kładł do łóżka czeladzi.

Poleciwszy chorego jeszcze specjalnej opiece Rabety, odszedł proboszcz do swej pracowni.

Rabeta zaprowadziła Józefa do małej, przeznaczonej dla niego izdebki, w której stało czyste, kolorowym perkalem obleczone łoże i duży ceber ciepłej wody. Obok cebra stało krzesło, a na nim leżał duży kawał mydła i czysta koszula. Na kominku palił się ogień.

— Jest to izba czeladna — rzekła Rabeta — stara służąca odeszła wczoraj, a nowa przyjdzie dopiero jutro. Musiałam wszystko sama przygotować. Umyjcie się porządnie, nim się do łóżka położycie, a wasze ubranie wrzućcie do pieca, niech się spali. Nie chcę mieć takich brudnych gałganów w domu. Oto jest przygotowana czysta koszula, a jutro przyniosę wam resztę. Znajdzie się tam coś dla was, między starymi rzeczami jegomościa. Gdy będziecie w łóżku, to zawołajcie mnie, jestem tu obok, w kuchni, to przyniosę wam szklankę herbaty.

To mówiąc wyszła, a Józef zaśmiał się szyderczo i triumfująco.

Nie potrzebując teraz udawać chorego, rozebrał się prędko, a ciepła kąpiel bardzo mu się uśmiechała.

Wymywszy się porządnie, wdział czystą koszulę, a starą swą wrzucił do pieca, jak mu gospodyni nakazała. Ubrania jednak nie spalił, lecz zwinąwszy je, schował starannie do siennika. Potem położył się do łóżka, wyciągnął rozkosznie, a następnie, przybierając znów maskę chorego, zawołał słabym głosem:

— Jeżeli pani łaskawa, to proszę o herbatę!

Rabeta podała mu przygotowaną herbatę, a potem wróciła do swojej ciepłej, wygodnej izdebki i usiadłszy na fotelu obok pieca, zaczęła się modlić, dziękując Bogu za swe zdrowie i dostatnie życie, porównując je w myśli ze smutnym losem bezdomnego, chorego żebraka.

Ziewając, wstała z krzesła i obeszła raz jeszcze dom, oglądając, czy wszystko w porządku i czy drzwi są pozamykane.

— Dlaczego pies dziś tak szczeka i wyje? — mruknęła, wkładając duży czepek. — Tak, jak gdyby jakiegoś obcego czuł w pobliżu domu.

W następnej chwili jednak pies się uspokoił, a Rabeta, nie przeczuwając nic złego, położyła się do łóżka i wkrótce zasnęła.

Nie wiedziała, że wierny pies leżał martwy na ziemi, zduszony ręką zbrodniczą.

Gdy na plebanii wszystko się uciszyło i zegar wieżowy wybił jedenastą, wstał Józef, włożył znowu stare, brudne gałgany i wsunął się na palcach do kuchni.

Przy jasnym świetle księżyca rozpoznał lampkę, którą zostawiła tu Rabeta i zaświeciwszy ją, wyszedł znów ostrożnie na korytarz, nadsłuchując bacznie, czy się coś nie ruszy. Ale wszyscy spali spokojnie i było cicho jak makiem zasiał.

Wtedy zbliżył się do drzwi wchodowych, odsunął ostrożnie rygiel, przekręcił klucz w zamku, przy czym nie obeszło się bez lekkiego skrzypienia, a w następnej chwili już Maks był na korytarzu.

— Gdzie leżą pieniądze? — zapytał szeptem.

— Nie wiem, trzeba będzie szukać! — rzekł Józef cicho — tamte drzwi prowadzą do jego pracowni.

Otworzywszy te drzwi wsunęli się tam obaj. Maks przystąpił zaraz do biurka i wyjąwszy z kieszeni wytrych i inne potrzebne do tego rzemiosła narzędzia, zaczął majstrować przy biurku. Józef przyświecał mu lampą i wkrótce wszystkie szuflady i sekretarzyki były podmykane.

Znaleźli tam sutą zdobycz w gotówce, w różnych osobnych szkatułkach, z których niektóre wyglądały jak fundusze kościelne, inne znów, jak prywatne mienie proboszcza.

Właśnie zaczęli napełniać swe kieszenie, gdy przestraszył ich przeraźliwy okrzyk w pobliżu.

Była to Rabeta, która stała trupio blada w drzwiach pracowni, patrząc osłupiałym wzrokiem na stojących rabusiów.

Zbudziła się z pierwszego snu, bo jej się zdawało, że ktoś otwiera kluczem drzwi. Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka i wyszła na korytarz. Było tu ciemno i cicho, ale zdawało jej się, że z pracowni proboszcza dochodzi ją światło i jakiś szmer. Odważnie przystąpiła do drzwi w przekonaniu, że to tylko złudzenie, lecz widok, który jej się przedstawił, wyrwał z ust jej mimowolny okrzyk przerażenia.

W następnej chwili już był Maks przy niej i patrząc na nią dziko, podniósł grożąco ciężki młotek nad jej głową.

Rabeta myślała, że ostatnia jej godzina nadeszła.

Wtem okazał jej się niespodziewany zbawca.

Józef stanął tuż za swym towarzyszem i wstrzymał rękę Maksa, żelazną swą pieścią, tak, że ten nie mógł wykonać zamierzonego uderzenia.

— Czego bronisz tę starą czarownicę — rozłościł się Maks.

— Nie dam jej zabić — odpowiedział Józef, dając upust ostatniej iskierce ludzkiego uczucia — ona mnie nakarmiła i dała przytułek, a ja za to uratuję jej życie.

— Głupcze — krzyknął Maks — ona wrzaskiem swoim zbudzi całą wieś. Zobaczysz, że przez twoją głupotę dostaniemy się obydwaj do więzienia!

— Dlaczego? — spytał Józef spokojnie — możemy ją przecież związać i zamknąć w tym pokoju, a wtedy nawet krzyk jej nam nie zaszkodzi.

Maks wykonał zaraz myśl swego towarzysza i spętawszy Rabecie ręce i nogi, zamknął ją w pracowni.

Następnie wysunęli się obaj na palcach z domu, a Maks zamknął z zewnątrz drzwi na klucz i schował do kieszeni.

— Tak! — rzekł z uśmiechem — to także opóźni odkrycie. Teraz spieszmy do najbliższej stacji kolejowej i jesteśmy uratowani.

Milcząc szli obok siebie, nie biegnąc zbytnio, by się przed czasem nie zmęczyć. Od czasu do czasu oglądali się poza siebie, czy ich kto nie goni, i łapali się za kieszenie, aby się przekonać, czy nie zgubili zrabowanych pieniędzy.

Wreszcie zdążyli do stacji i mieli jeszcze tyle czasu, aby kupić bilety do ostatniego pociągu, który odchodził w stronę Wiednia.

Wsunęli się do wagonu czwartej klasy i pociąg ruszył.



W Rumunii zdarzyły się ostatnio katastrofalne powodzie. Na zdjęciu widzimy ratujących swój dobytek mieszkańców wioski Walkow.

— Uratowani! — triumfował Maks — gdy tam spostrzegą nasz figiel, będziemy już dawno we Wiedniu, a pieniędzy mamy dość, aby się przebrać, jak się nam podoba. Będą szpicle mieli robotę!

Józef uśmiechnął się zadowolony i wyciągnąwszy się na ławce, zasnął.

ROZDZIAŁ CCXLVIII.

Zdemaskowani

Znowu noc spuściła ponure swe cienie na ziemię, a nasi podróżni w lasach dziewiczych zmuszeni byli przerwać swą wędrówkę i rozbić prowizoryczny swój namiot do spoczynku i przespania się.

Wszyscy byli pod wrażeniem owego nocnego zjawiska. Nawet starego Hillera, który na ogół lekceważył wszelką wiarę w świat nadprzyrodzony, zaczęły teraz nawiedzać wątpliwości.

Widział upiora zanadto blisko i wyraźnie, aby mógł myśleć, że to było złudzenie optyczne. Dniem i nocą myślał nad wytłumaczeniem tego dziwnego zjawiska, nie mogąc rozwiązać zagadki.

Bill, Tom i Wudajo zaś śmiertelnie byli przerażeni i bojąc się zostać osobno, czuwali wszyscy trzej razem.

Bill opowiedział znów swoje straszne historie, czym jeszcze bardziej denerwował siebie i słuchaczy.

Jedyni niezarażeni ogólną trwogą byli Leon i Francis.

Leon zaciekawiony był tylko tym nocnym upiorem i przemyśliwał nad odkryciem tajemnicy.

Francis myślała najmniej o upiorze, gnębiło ją bardziej to, że Leon odciągał się teraz od niej. Próbowała już kilka razy zbliżyć się do niego, ale widząc, że on konsekwentnie jej unika, straciła odwagę i tylko raz po raz rzucała mu nieśmiałe słówko. Smutek jednak malował się wyraźnie na jej pięknej twarzy.

I dziś odeszła od ogniska, rzucając mu ciche „dobranoc panie Jim" i popłakała się porządnie przed zaśnięciem.

Wszyscy towarzysze spali i tylko Leon sam był na straży.

Dorzucał często chrustu do ognia, aby podtrzymać silny płomień i patrzał bystro wokoło, czy nie zobaczy znów upiora i czy mu się tym razem nie uda odkryć, skąd się zjawia i przyłapać go nim zniknie.

Księżyc, który był w ostatniej kwadrze, oświecał niewyraźnym półświatłem olbrzymie drzewa dziewiczego lasu. Wiatr igrał między ich gałęziami, zresztą panowała wokoło głęboka cisza.

Zamyślony patrzył Leon przed siebie, nagle odskoczył, ale wstrzymał się od okrzyku. Zdaleka już spostrzegł zbliżającą się do namiotu, tajemniczą postać, która się po kolei zwiększała i zmniejszała, nie tracąc jednak nigdy dzikiego wyrazu ognistych oczu, zwróconych bezustannie na czuwającego samotnika.

Przezwyciężywszy pierwszy strach, złapał Leon za nabitą strzelbę i chciał pociągnąć za cyngiel, ale sprężyna się nie poddała; widocznie była zepsuta. Niezrażony tym, złapał Leon za sztylet i podniósłszy go, zbliżył się do tajemniczej postaci i ugodził w nią.

W następnej chwili ozwał się przeraźliwy okrzyk, a i Leon nie mógł się wstrzymać od głośnego krzyku, bo u stóp swoich zobaczył głowę z owymi ognistymi oczyma z jednej, a bez głowy tułów wijący się jakby w kurczach na ziemi z drugiej strony.

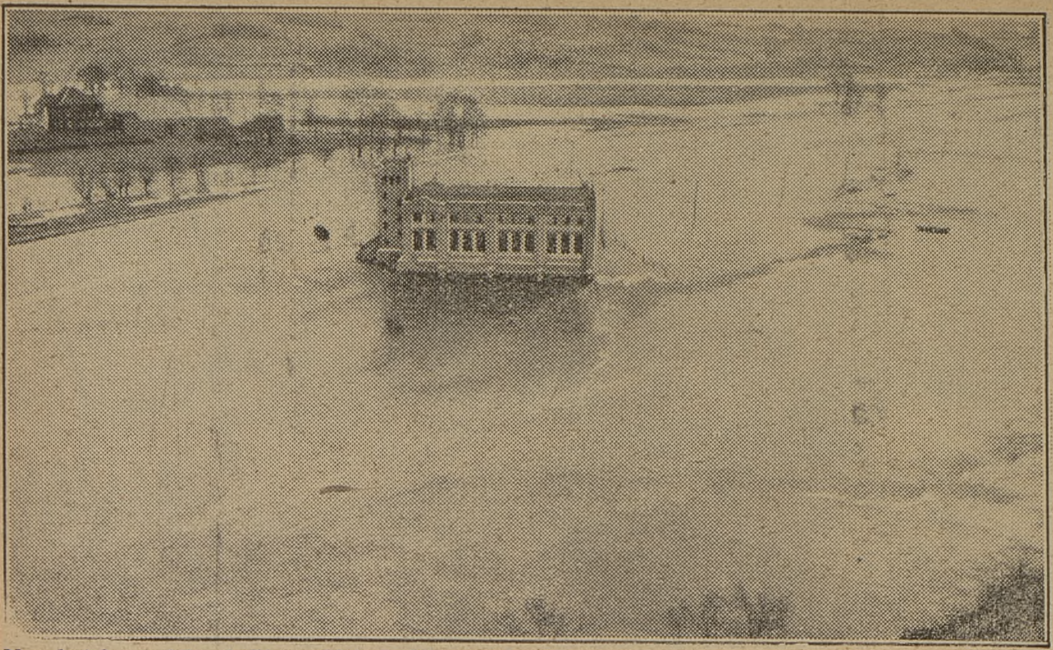
Wtem usłyszał jęk i słabe wołanie:

— Litości, na Boga Świętego, litości!

Okrzyk ten zwiększył jeszcze jego przerażenie, bo nie przypuszczał, aby odcięta głowa mogła mówić; gdy wtem z ciemnych zawojów wysunęła się całkowicie postać ludzka, która mu z głośnym błaganiem padła do nóg.

Zdziwiony, a równocześnie uspokojony oglądnął Leon stworzenie, które wiło się u stóp jego. Była to ludzka istota, mimo, że nie było w niej wiele śladu podobieństwa Bożego. Trudno było odgadnąć wiek jego. Wycieńczone, szkieletowate członki okryte były częściowo tylko skórami zwierzęcymi. Długa, splątana nieporządnie broda zwisała na piersi, a włosy spadały długą grzywą na czoło. Oczy jego głęboko były zapadłe, a u rąk, które podnosił błagalnie, widoczne były długie, jak u drapieżców, zagięte paznokcie.

Jęczał nieprzerwanie, błagając o litość trochę po francusku, trochę po angielsku;



Na skutek nagłej odwilży, wylał w Niemczech cały szereg rzek. Na zdjęciu powódź, powstała przez wylew rzeki Ruhry.

obok niego zaś leżało to, co Leon dotychczas miał za głowę upiora w płomieniach, i dopalało się.

— Co ty z nami wyprawiasz? — zawołał Leon gniewnie. — Czego udajesz upiora i straszysz naszą straż po nocach?

— O panie, zlituj się nade mną — jęknął znów zdemaskowany upiór — tylko nędza zmusiła mnie do tego, bo nie miałem odwagi zbliżyć się we własnej postaci do waszego obozu. Wybacz panie, wybacz!

— Wybaczę ci, jeżeli powiesz prawdę — odezwał się Leon — dlaczego zbliżałeś się do nas zawsze w tej masce i w jaki sposób ją sporządziłeś?

— Wyznam wszystko — błagał człeczyna — tylko dajcie mi pierwej kawałek chleba, bo umieram z głodu.

Litość wzięła górę nad gniewem Leona bardziej jeszcze, gdy zobaczył krew sączącą z rany, którą mu przed chwilą zadał.

— Gdzie cię zraniłem? — zapytał. — Żal mi cię, ale musiałem się przecież bronić.

— To nic, panie — rzekł zdemaskowany upiór pokornie — mała rana na plecach i prędko się zgoi.

Kawałkiem płótna, który mu Leon podał, obwiązał sobie ranę, a potem zaczął chciwie zjadać podany prowiant.

— Teraz mów — rzekł Leon — dlaczego nas od dłuższego czasu prześladowałeś?

— O panie, dlatego tylko, aby się nędznie wyżywić okruchami waszego jadła — zawołał eks-upiór żałośnie —, straszyłem straż waszą swoim przebraniem i w ten sposób udawało mi się zawsze złapać coś z waszych zapasów.

— Rzeczywiście zawsze coś brakowało — potwierdził Leon — ale dlaczegóż nie zbliżyłeś się do nas otwarcie i uczciwie, prosząc o wsparcie? — dodał ostro.

— O panie, nie miałem odwagi — zawołał nieborak — gdyż uciekłem z więzienia z Fort-Andrews i tu się schroniłem. Od kilku miesięcy już tu żyję w ukryciu i nie śmiem pokazać się ludzkiemu oku z obawy, aby mnie nie przyłapali i na powrót nie zawlekli do więzienia. Żyłem nędznie, nie miałem nawet żadnej broni przy sobie, aby upolować trochę dziczyzny; tygodniami żyłem tylko korzonkami i jagodami leśnymi, spałem na ziemi i nie miałem innych towarzyszy prócz dzikich zwierząt. Od ludzi zaś musiałem się trzymać z daleka, mimo, że za nimi tęskniłem. Raz zaszedłem w pobliże wsi indiańskiej i zmuszony twardą koniecznością wpadłem na myśl tej maski, aby sobie umożliwić wstęp do wsi. Ze skóry zdechłych zwierząt, które znajdowałem po drodze, sporządziłem to przebranie, leżące tu na ziemi. Potem wydrążyłem dynię i wyciąłem w niej trzy otwory; dwa miały przedstawiać oczy, a trzeci był na to, abym mógł doń wsadzić rękę. Wydrążenie dyni wypełniłem pół zeschłym mchem, który zapaliłem. Mech tlił się powoli, a płomyczek widoczny przez otwory robił wrażenie dwu ognistych oczu. W trzeci otwór melona wsadziłem rękę i trzymałem go tak wysoko, że wyglądał jak moja głowa. Cały zaś zawinąłem się w to ubranie ze skór. Pewnej księżycowej nocy skradałem się tak po raz pierwszy do wsi indiańskiej, a pierwszy człowiek, którego spotkałem, stanął jak skamieniały z przerażenia, gdym tak w jego oczach rósł i malał. Ja zaś nic innego nie robiłem tylko podnosiłem i spuszczałem melon, który trzymałem w ręku i przez to wyglądałem jak zły duch, a ten człowiek, którego spotkałem, odzyskawszy władzę w członkach, uciekł co mu sił starczyło i krzyczał przeraźliwie.

W zamieszaniu, które sprawiłem Indianom za każdym swoim ukazaniem się, udało mi się obłowić u nich trochę, ale to nie na długo wystarczyło. Wtedy zobaczyłem wasze kółko, obładowane prowiantem konie, i przyszło mi na myśl i z wami spróbować tej samej szopki. Udało mi się też nastraszyć was, ale korzyści które z tego miałem, nie wypłacały się za tyle trudu. Raz złapałem worek konserw, drugi raz flaszkę wódki i to było wszystko. Wybaczcie mi, panie, bo ja nie miałem innego wyboru, jak tylko zabrać wam co się da, — albo umrzeć z głodu!

— To więc jest koniec zagadki — mruknął Leon pod nosem — ktoby coś podobnego mógł był przypuszczać! Jak stary Hiller będzie triumfował! Musisz moim towarzyszom wszystko tak samo opowiedzieć jak mnie, — dodał zwracając się do eks-upiora — aby ich wyleczyć ze strachu, który im napędziłeś!

— A czy wy mnie nie zdradzicie? — zapytał on trwożnie.

— Kto mówi o zdradzie? — ozwał się nagle głos Billa, który się podniósł na swym łożu. — Z kim mówisz Jim i skąd ten drab się tu wziął?

Głos jego zbudził resztę śpiących, którzy pozrywali się przestraszeni z swoich legowisk, pytając co się stało.

— Zagadka upiora rozwiązana! — rzekł im Leon. — Nie był to duch, tylko człowiek, który się tak przebrał, aby móc się zbliżyć do naszego obozu. Tu go widzicie! Zraniłem go swoim sztyletem i zmusiłem do zeznania, które wam powtórzy.

Słowa te wzbudziły prawdziwą burzę niechęci. Stary Hiller wymyślał mu od kuglarzy i oszustów, lecz najwścieklejszym był Bill, który w złości przyskoczył do tego biednego człowieka i tak nim zaczął trząść, że byłby go na śmierć zamęczył, gdyby nie Leon.

— Daj mu spokój — mitygował on Billa — ja już go dość ukarałem! Posłuchaj lepiej jego historii, a będziesz się nad nim litował.

— I ja jestem jej ciekawy — rzekł stary Hiller, zadowolony w końcu z wyjaśnienia tej dziwnej zagadki — jaki powód miał on, aby nas tak przestraszać i jakim sposobem mu się udało, tak nas złudzić?

Przyłapany zaczął po raz drugi opowiadać swoją historię.

— Jakżeż ja mogłem być takim głupim i nie wpaść na to! — zawołał stary Hiller — to przecież jest znana sztuczka! — Jeżeli wreszcie przyznajesz sam, żeś uciekł z więzienia Fort Andrews — rzekł, zwracając się do biednego ex-upiora — to jesteś z pewnością Jack Hamerling!

— Jestem nim rzeczywiście — przyznał Jack pokornie.

— Byłeś skazany na dożywotnie więzienie! — zawołał Hiller ostro — a my, którzy jesteśmy dobrymi obywatelami naszej Rzeczypospolitej, nie ścierpimy, aby kodeks naszej ojczyzny był znieważony i oddamy cię nazad do cytadeli w Fort-Andrews. Jesteś teraz naszym więźniem!

Oznajmienie to padło na Hamerlinga jak piorun z jasnego nieba. Padł on Hillerowi do nóg i błagał go o zlitowanie się i łaskę.

— Panie! — jęczał zdesperowany — zlituj się nade mną, biednym robakiem. Jestem zbrodniarzem, to prawda, ale gdybyście znali przyczyny mojego występku, mielibyście litość nade mną. Ale wierzcie mi, że jestem bardziej ukarany, niż na to zasłużyłem, i zważcie, że życie bez wolności, powietrza i słońca, jest najstraszniejszym losem, jaki człowieka spotkać może. Długie lata tak przesiedziałem i byłem już bliski rozpaczy, gdy mi się wreszcie udało umknąć! Byłem znów wolny! Żyłem nędznie, a przecież byłem szczęśliwy, że mi się udało wydostać z Fort-Andrews! A teraz miałbym się znów dostać w mury więzienne? O, zlitujcie się nade mną nieszczęśliwym! Popatrzcie na moje wynędzniałe ciało i moje wycieńczenie. Ja i tak już długo żyć nie będę. Pozwólcie, abym tych parę ostatnich dni spędził na wolności i cieszył się jeszcze słońcem Bożym.

(Ciąg dalszy na stronie 93)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

CZY SŁYSZYSZ „BIAŁA UAJALI"?..

Czy słysz „Biała Uajali",
jak wicher łka?
Biegnie z oddali
z jękiem, skargą
i łka a łka...

Do okien się dobija,
w szyby wali,
przelatuje, wraca, mija
i znów łka,
tak rzewnie łka...

Czy słyszysz „Biała Uajali"?
Może to dola nasza płacze —
dola zła?
Może nad krzywdą wicher kracze
i tak łka?
A może dusze zawiedzione,
pełne bólu,
swe dole czarne, okrwawione,
w płaczu tulą?

Powiedz mi:
dlaczego takie smutne granie
idzie przez pola?
Skąd to łkanie,
ten jęk przedziwny, tajemniczy,
co tak żałośnie woła,
krzyczy
i tak boleśnie łka,
jakby przez pola krzywda
szła?...

Adam Czekalski.

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni p. p.: Eustachy Ścibor - Rylski, „Japonka", „Czarnula", „Biały Chryzantem z P.", „Aniteńka", „Czarująca Janka", „Stefcia", i „Miła Cyganka".

PODZIĘKOWANIE ZA ŻYCZENIA!

Za specjalnie przesłane nam życzenia gwiazdkowe i noworoczne niniejszym serdecznie dziękujemy p. p.: „Czarodziejce", „Samotnej Rusałce", „Irkowi", „Reni z Kolna", „Ar", „Jasieńce", „Erosowi", „Wenus", „Orliczowi", p. M. Grzegorskiemu, „Smutnej i brzydkiej Irce", „Ali - Alemu", „Zofii z Gr.", „Wesołemu Broneczkowi", „Czarnulce" oraz tym wszystkim, którzy życzenia swe wyrazili w listach.

Na te listy odpowie się zwykłą kolejką, a za życzenia już dziś.

JESZCZE RAZ!

„Samotna Rusałka". Wiesz, Dziewczynko, podoba mi się ten wspólny prezent, jaki sobie Państwo daliście na Gwiazdkę i myślę, że przy nim nawet blednie na ogół pociągająca perspektywa balowej sukienki.

Owszem, życzenia otrzymałam i jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Smuci mnie, że „Rodzinka" dotąd nie zainteresowała się silniej Tobą, lecz nie tracę nadziei i Ty proszę nie przejmuj się. Na pewno już szybko otrzymasz miłe słowa z daleka, a może i bliska!

Posyłam Ci siostrzany uśmiech i zamieszczam Twoje komunikaty.

Halo! „Henry", czemu Pan nie odpisuje?! Dla „Samotnej Włościanki" moc całusów. Zgadnij od kogo? „Marzenko"! Nie wiesz, jak chętnie chciałabym z Tobą nawiązać bliższy kontakt. Mam tam też krewnych, a w niedalekiej przyszłości może też znajdę się na tej ziemi, gdzie Ty przebywasz. Napisz więc chociaż kilka słów dla mnie. Wszystkich członków w naszej dużej „Rodzince" pozdrawiam i całuję serdecznie i proszę o list, na który murowana odpowiedź!

PRZYJMUJĘ

„Dziewczę z gór". Przyjmuję Cię do „Krainy" pod tym pseudonimem, chociaż wiem, że miejscowość, w której mieszkasz, nie jest górską. Może są tam wzgórza — no, ale skoro sobie życzysz!...

Otóż przedstawiam Cię i polecam „Rodzince":

„Dziewczę z gór" jest to brunetka średniego wzrostu, oczu czarnych i śniadej twarzy. Zna „Krainiaków" i ma do nich sporą dozę sentymentu, który ją skłania do ponownego wstąpienia do „Krainy".

My możemy życzyć jej, aby czuła się wśród nas dobrze, co chyba nastąpi.

„Halo! Serdeczne pozdrowienia dla „Białej Uajali" i wszystkich Sympatyków „Krainy"!

W ŚWIĘTO GROMNICZNE

Gromnice płoną
równo i spokojnie,
w dłoniach prostaczków utrudzonych znojnie,
jako znicz święty jaskrawo — czerwono
gromnice płoną.
Jak wiele, jak wiele
migoce świateł dziś w wiejskim kościele.
Obrządki święceń właśnie odprawiono:
gromnice płoną...
— Silna wiaro ludu
oto z dnia na dzień oczekujesz cudu,
jak gdyby krzywda nie była sądzoną.......
Gromnice płoną.

M. Mszczycka.

PRZYPOMINAM SOBIE!

„Wesoły Broneczek". Ależ tak, tak! Teraz przypominam sobie Pana — mam Twój pseudonim zanotowany i znam pseudonim Twej kochanej siostrzyczki. Bardzo Was lubię, możesz mi wierzyć!

Dziękuję za nadesłane mi zdjęcia — włożyłam je do albumu redakcyjnego na pamiątkę, stwierdzając z przyjemnością, że rzeczywiście są niezłe wykonane.

Pytasz mnie, czy domyślam się, którym z tych trzech panów jesteś — otóż zawsze myślałam, że ten bez kapelusza to Ty, ale teraz, kiedy mam fotografię Twej siostrzyczki i porównuję, skłonna jestem twierdzić, że ten pierwszy z lewej jest „Wesołym Broneczkiem" — czy zgadłam?

W liście swym zdradzasz mi zamiar wstąpienia do „Krainki" Twej siostrzyczki — otóż tak się złożyło, że ona jako nowa „Krainianka" otrzymała szybciej odpowiedź od Ciebie, którego zaliczam do starej, wiernej gwardii. Zawsze nowym staram się szybciej odpowiedzieć, bo przecież nie mogę tygodniami i miesiącami czekać w niepewności, czy zostali lub nie — wciągnięci do naszego grona.

Postarałam się odpowiedzieć na zawarte w Twym liście myśli, a teraz chcę przejść do komunikatów, życząc Ci nowej obszernej i ciekawej korespondencji z „Krainiakami".

„Kitty" — wysłałem list na poste - restante.

„Czarnulka z Grudziądza" — gdzie jesteś, dawno Cię nie spotkałem.

„Dzikuska" i „Złote Słoneczko" — zdjęcia Wasze cudowne!

Halo, Grudziądz — „Pani Helena Orch" — kolega Z. K. żartował — jestem starszy, mam 29 lat — proszę podać adres, napiszę do Pani.

„Tartuk" — może porozumiemy się w sprawie fotek, posiadam duży wybór — około 600 zdjęć.

„Urszulce spod Grudziądza", „Dance z Pomorza", „Elżuni z Torunia", „Samotnej Włościance", „Stokrotce", „Humorystce", „Zadumanej Dusi", „Romantycznemu Śpiewakowi", „S 13", „Flerowi", i „Samotnemu Romowi" ślę moc pozdrowień. Może kto z Was napisze do mnie?.

KOCHAJCIE SIĘ!

„Smutna Ślązaczka". Zadowolona jestem, iż starania Twoje, „Smutna Ślązaczko", w kierunku wyrównania depresji psychicznej na normalne ludzkie zadowolenie z życia powoli odnoszą skutek. Zawsze nie może człowiek trwać w smutku, jeżeli nie przez wzgląd na siebie, to na swoje otoczenie. I cieszę się, że moje skromne rady przyczyniły się trochę do tego. Uważam, że za jakiś czas napiszesz mi, iż jesteś już zupełnie pogodzona z owym faktem i... nawet wesoła. Ludzki optymizm i pęd do radości życia w końcu zawsze bierze górę. I to jest to dobre!

Więc polubiłaś „Anetkę III" — to dobrze! No, dziś już się chyba znacie i przyjaźnicie i na pewno Ty, dużo mogłabyś mi napisać o tej dziewczynce. Pragnę, abyście się kochały. A może jednak nie zawarłyście dotąd kontaktu listownego? Na wszelki wypadek przedrukuję Twój komunikat: „Anetko III" — jesteś Słodka i Kochana! Mile, serdecznie i taktownie podeszłaś do mnie, zaraz też napisałam liścik do naszej Kochanej Pani Zosienki z prośbą o zamieszczenie parę słów do Pani „Anetko". Zadanie trochę za trudne, życie biorę bardzo poważnie, ale będzie mi bardzo miło, więc proszę o znak życia!

„Nelli". Obie chodzimy po cierniach, widocznie Bóg tak chce. Ślę moc serdecznych pozdrowień!

„Brzydka Lea". Myśli Pani są moimi, chętnie poznałabym Panią bliżej. Pozdrawiam!

Dla „Krainiaków" z ziemi śląskiej moc milutkich pozdrowień!

BĘDZIESZ RADOSNA!...

„Maleńka Liany". Cudownie, że nie czujesz się już tak samą i że masz tyle sympatii dla mnie — wiedz, że nie jest ona jednostronną, bo i ja Cię lubię ogromnie. Tak pięknie, tak wielce nastrojowo zakończyłaś swój liścik, Ty Maleńka Słodyczy!

Staraj się nie powracać już wspomnieniem do tamtych ciężkich chwil, niech się pokryją śniedzą zapomnienia. Po latach wielu nie będą już sprawiały bólu — wywołają tylko blady uśmiech spokojnej rezygnacji i cichego zadowolenia. Nie może być szczęściem to, co jest zdradliwe i samolubnie odchodzi w swoje własne ciemne drogi — dlatego nie należy cierpieć z tej racji, że właśnie odchodzi. Wszak prędzej czy później odeszłoby — więc niech już uczyni to szybciej.

Po jeszcze miesiącach paru będziesz już radosna, jak piękna wiosna, która właśnie roześmieje się setką barwnych kwiatów i milionami zielonych liści!

Życzę Ci tego i posyłam serdeczny uścisk!

Halo! „Słodka Maruszko" — polubiłam Cię. Życzę Ci dużo radości!

„Henry" — dziękuję za pozdrowienie, które w pełni odwzajemniam. Pierwsza jednak nie napiszę.

ZMIANA PSEUDONIMU

„Avery". Kochana Moja dziewczynko, więc zmieniasz pseudonim — ja zaraz sobie myślałam, że on Ci nie odpowiada! Dobrze, że go zmieniłaś. Teraz łatwiej nawiążesz korespondencję z miłymi „Krainiakami" — jest tu wszak dużo rozumnych i kochanych siostrzyczek i braciszków, którzy o Tobie nie zapomną. Tylko pamiętaj nadesłać mi dokładny adres.

Dobrze, że jesteś pociechą Wujkowi i że nie spędzasz swej pierwszej młodości bezpożytecznie — staraj się wydawać z siebie jak najwięcej serdecznego ciepła, a na pewno samej sobie niejedną miłą chwilę przysporzysz i niejedno serce podbijesz.

A jeszcze jedno! Nie pozwalaj sobie na przykre myśli i tęsknoty — jesteś jeszcze taka młodziutka! Nic takiego nie powinno zachmurzać Ci jasnego czoła i młodej szlifować duszy.

Całuję Cię i w Twoim imieniu mówię „Leńce" i „Mery", że tęsknisz za nimi i zapytujesz, co porabiają Rodzice i Braciszek?

Ponadto zasyłasz moc uścisków dla wszystkich.

PYTAŁ PAN...

„Smętny — Chorzów I". Pytał mnie Pan, jak przesyłać listy „Krainiakom". Otóż należy zalepić kopertę, na niej wypisać życzony pseudonim i przesłać w liście, pisanym zawsze przez Pana do mnie. Każdy list, który pragnie Pan za moim pośrednictwem przesłać, winien mieć jako załącznik znaczek. Rozumie już Pan? Sądzę, że tak — zatem przesyłam pozdrowienia i życzenie miłej korespondencji.

GDYBY...

„Jolka z dworku za wsią“. Chętnie przyjmuję Cię do naszej „Krainki“ i życzę, abyś się wśród nas czuła jak najlepiej!

Nie wątpię, że znajdzie się „jakaś szczera duszyczka“ — w myśl Twych własnych słów, która zechce nawiązać z Tobą miłą, przyjacielską korespondencję.

Byłabyś — mówisz — szczególnie zadowolona, gdyby to był ktoś z Gdyni, ale zaznaczasz, że nie musi!

Wiersze Twoje oddałam Wujkowi Januszowi do oceny.

Dziękuję za pozdrowienia dla „Krainiaków“ i dla mnie i odwzajemniam je szczerze.

NIE WIEM...

„Oddalony“. Z przykrością muszę Panu donieść, że z nadesłanych listów tylko jeden mogłam posłać. Dwa drugie leżą w redakcji, gdyż nie mam adresów tych pseudonimów. Dam apel w „Krainie“, może dane osoby przeczytają i przyślą mi swoje adresy. Ponadto muszę zaznaczyć, że „Czarnulek“ mamy kilka w „Krainie“ — dawne i nowsze to pseudonimy — dlatego zupełnie nie wiem, która jest tą właściwą spod Gniezna!

Numer okazowy I. K. P. kazałam Panu posłać — czy go otrzymałeś?

Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i życzę dużo listów od „Krainiaków“!

NOWY SYMPATYK

„Samotny P. F.“ Przedstawiam Wam, „Krainiacy“, nowego Sympatyka. Był on do niedawna leśnikiem, a teraz — po śmierci ojca — musiał się zająć gospodarstwem rolnym. Niemniej nie przestał marzyć o swym ulubionym leśnictwie. Tu na wsi czuje się osamotniony i smutny, przeto prosi o pamięć członków swej nowoprzybranej „Rodziny“.

Myślę, że nie pominiecie go chłodnym milczeniem.

Fotografię zwróciłam Panu — czyś ją odebrał?

Pozdrawiam i życzę powodzenia w korespondencji!

CZY NAPRAWDĘ?

„Biała Niezapominajka“. Dziecino, chyba nie przypuszczasz naprawdę, że Twój „długi“ list mógłby mi być niemiłym. Pisz jeszcze dłuższe, a nie usłyszysz ode mnie niczego innego, jak słowa pochwały.

Cieszy mnie, że stosujesz z tak dodatnim skutkiem podane przeze mnie lekarstwo na wadę serca.

Wobec tego, że wolno Ci już korzystać z przyjemności zimowych — chyba używasz sanek i łyżew dowoli, co?

Napisz mi już szybko taki miły różowy liścik, a na razie przyjm moje ciepłe pozdrowienia.

„Banialuce“ donosi „Biała Niezapominajka“, że chętnie nawiązałaby z nią korespondencję, gdyż zdaje jej się, że są rówieśnicami. Moc dla niej serdeczności! Dla całej „Krainy“ dużo pozdrowień siostrzanych!

POPRAW SIĘ!

„Banialuka“. Rzeczywiście masz mniej czasu od siostry swej? Nie wierzę, a moja Pieszczotka w tej chwili rumieni się okrutnie — popraw się koniecznie!

A teraz czytam Twoją widokówkę wysłaną z Kościana. Czy tam jeszcze bawisz? Raczej „hulasz“ wesoło? Podziękuj proszę koleżance Janie za dopisek — miło mi było czytać Wasze kochane wykrzykniki.

Czekam na nowy transport wesołości i całuję Cię serdecznie.

„Halo! „Wesoła Ślązaczko“ — o ile chciałabyś naprawdę nawiązać korespondencję z takim pędziwiatrem jak ja — to napisz pierwsza. Już za dobrą chęć ślę Ci dużo całusów. Dużo uścisków dla „Wieszczki Kwiatów“!

WYSŁAŁAM!

„Bella Donna“. Wysłałam Ci, Dziecko, listy, które wpłynęły dla Ciebie — czego się denerwujesz! Napisz mi, czy je w międzyczasie otrzymałaś i na przyszłość postaraj się być uprzejmiejsza — nie jestem przyzwyczajona do takich chłodnych żądań ze strony moich „Krainiaków“.

Pozdrawiam Cię i nie przekazuję pozdrowień dla „Kraniaków“, bo ich nie nadesłałaś.

ŻYCZĘ CI!

„Zbijobruk poznański“. Widzę z listu, który właśnie czytam, że nigdy — nawet w czasie najmozolniejszej pracy — nie opuszcza Cię dobre samopoczucie i pogoda. Cieszę się z tego ogromnie! Z Ciebie, Kochanie, będzie człowiek naprawdę dzielny i pożyteczny. Życzę Ci z serca powodzenia w końcowych egzaminach.

„Halo! „Marzący Sfinksie“ — ślę Ci jak najwięcej bardzo serdecznych pozdrowień!

„Półdiable Weneckie“ — nie miałam racji? ściskam Cię — wierna Ci do grobowej deski!...

„Fakirze“ — lepiej nie zgadnij! Może się mylisz. Ślę Ci pozdrowienia.

NAUCZCIE SIĘ!

„Mrówka Leśna“. Nauczcie się wreszcie, roztargnione dzieciaki, przysyłać swój adres, gdy pragniecie wstąpić do „Krainy“, bo ja wreszcie też pozwolę sobie na roztargnienie i przeoczę te prośby o przyjęcie do naszego grona, które nie będą miały adresów. Nie jest to miłe, gdy listy leżą mi tygodniami i miesiącami w teczce, zamiast dojść do rąk, którym je przeznaczono, a nadawcy robią mi wyrzuty, że nie dosyłam ich listów. Dlaczego ja mam dbać więcej o Was niż Wy sami o siebie?! Przeto pamiętajcie! I Ty też „Mrówko Leśna“!

Nowo przedstawiana Wam dziewczynka jest średniego wzrostu szatynką o oczach czarnych, jak węgle i mieszka w Wielkopolsce. Jest leśniczanką i chętnie nawiązałaby korespondencję z kimś też z lasu!

NIE WIERZĘ!

„Myśliwy“. Czy naprawdę nie masz szczęścia do kobiet? Ale za to jesteś dobrym myśliwym — i sam w liście do mnie wesoło rozwiązujesz zagadkę swego niepowodzenia, pisząc „Choć dużo poluję i żadna zwierzyna mi nigdy nie umkła, to w polowaniu na kobiety zupełnie nie mam powodzenia, więc może Pani przemówi za mną itd.“.

Pociesz się, Przyjacielu, kto ma szczęście w polowaniach i grze w karty — nie ma go u kobiet. Takie utarło się mniemanie wśród brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Nie wiem, kogoby tu Panu wskazać — może jednak na własną rękę popróbujesz jeszcze raz szczęścia. Nie wierzę, abyś miał nie znaleźć!

Pozdrawiam Pana serdecznie i przedrukowuję komunikaty:

PRZEDSTAWIAM SIĘ

„Samotne dziewczę z Pomorza“. „Puku - puku do Serduszka „Kraniaków“, aby raczyli przyjąć biedną, opuszczoną dziewczynkę do grona swej „Rodzinki“.

Przedstawiam się: Jestem blondynką, mam lat 23, średniego wzrostu, Wielkopolanka — wychowana jednak na Pomorzu. Choć pracuję pilnie, dusza moja wyrywa się do lotów, których kierunek trudno jest określić. Z natury jestem wesołą, lubię śmiech i radość życia, lecz nade wszystko przyrodę i połączone z nią zjawiska.

Może zechcecie do mnie, Drodzy „Krainiacy“, skreślić jaki miły, poważny liścik — odpowiedź murowana!“

Przyjęłam Cię do naszego grona, lecz dla porządku proszę o nadesłanie adresu.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZE CORAZ LEPSZE

„Melona“. Droga Moja Sympatyczko! Jakże miło mi zdradzić Ci, że wierszyki Twoje są coraz to lepsze. Będę oczekiwał zawsze na nie z radością i z tym przekonaniem, że nie zasłużą już one na krytykę, ale na pochwałę.

W SMUTNY DZIEŃ...

Dziś idąc tak sobie, wśród wichru łkania,
Przed siebie białymi polami —
Uwierzyć nie mogę, że idę sama,
Z czarnymi jak otchłań myślami.

Cisza złowroga — czasem wiatr okrutny,
Przemknie przede mną cichaczem,
A moja dusza znów dzisiaj tak smutna,
Gorzkim zanosi się płaczem.

Bo do dziś jeszcze uwierzyć nie mogę
Dziwnym twym słowom milczenia:
„Że już rozłączyły się nasze drogi,
Los szczęście w rozpacz zamienił!...“

A jednak słowom twym wierzyć muszę,
Że takie jest przeznaczenie...
Ty pójdziesz dalej w świat z smutną duszą,
A ja c tobie z wspomnieniem!...

Dziś idąc sobie wśród wichru łkania,
Naprzód białymi polami,
Rozumiem wszystko — czemu tak sama,
Idę z czarnymi myślami.

W. Krejtówna.

NIE PRZYRZEKAM

„Samotny — Chorzów I“. Zasadniczo zamieszczam w mojej „Teczce“ tylko autentyczne utwory moich Sympatyków, więc nie przyrzekam Panu wydrukować coś z obcych wierszy. W każdym razie będę Panu wdzięczny, gdy prześle mi Pan te wiersze do przejrzenia.

Co do załączonych do listu wierszyków, to są one miłe i gładkie i wszystkie pójdą do druku. Na pierwszy ogień idzie wierszyk:

Z DUMAŃ SAMOTNEGO

Wstaję z łóżka, jak codzień rano
I znowu ta sama myśl świta w głowie:
Smutek mnie czy radość czeka,
Czy może dobrego czegoś się dowiem?...

Wstaję z łóżka, jak codzień rano
Z raźnie uśmiechniętą twarzą najczęściej
I łudzę się myślą tą samą —
Dziś może napotkam szczęście...

„Samotny — Chorzów I.“

TRZEBA PRACOWAĆ NAD SWOIMI ZDOLNOŚCIAMI

„Jolka z dworku za wsią“. Proszę niech Pani przeczyta sobie odpowiedź daną „Melonie“ i pomyśli następnie, że kiedyś, kiedyś dałem tej Pani mniej więcej tę samą odpowiedź, którą dam dzisiaj Pani, a mianowicie: wierszyk Pani jest słaby, ale, gdy będzie Pani pracowała nad swoimi zdolnościami, to może w przyszłości uda się Pani pisać dobre wiersze. Łączę bardzo miłe pozdrowienia!

CHCIAŁABYM...

Gdy sen swą dłonią otuli twe powieki,
A myśl twoja w nieznane uleci przestworza,
Chciałabym, jak duch cichy i niewidzialny,
Być u twego łoża.

Chciałabym leciuchno pogładzić twe włosy,
Ustami dotknąć twych skroni
I być przy tobie długo, jak najdłużej...
Dłoń położywszy na twojej dłoni.

Chciałabym myślą śledzić snu twego obrazy
I poznać serca twojego tęsknoty,
Chciałabym z tobą być tylko razem,
Zanim nie minie — twój i mój sen złoty.

A gdy zaświta blady brzask poranku,
Chciałabym odejść w nieznane strony,
Abyś już o mnie nie pamiętał więcej —
Szczęśliwy u boku swej przyszłej żony.

Kazimiera Pompowska.



Raj kobiet

Bardzo miła sukienka z granatowej wełny, przybrana wypustkami w kolorze białym lub czerwonym. — Dwuczęściowy komplecik spacerowy: spódniczka z brązowej, żakiecik z beżowej, drobno nakrapianej wełny. — Bardzo ładny płaszczyk przybrany stebnowaniem. — Skromna lecz elegancka sukienka popołudniowa, uszyta z jedwabiu lub wełny w połączeniu z koronką.

Jak w dawnych czasach osiągano „uroczą pulchność ciała“?

Czy można sobie dzisiaj wyobrazić, że były czasy, w których smukłość nie była ideałem piękności? W miesięczniku, który wychodził 33 lata temu, znajdujemy artykuł pod tyt.: „Sztuka zyskania tuszy“, zaczynający się od następujących słów: „Ludzkość od dawna pojęła, że uzyskanie tuszy jest prawdziwą sztuką, widząc szczupłych, którzy nie żałują trudu, ażeby utyć. Je się, pije i śpi w nadmiarze i ciągle jest się szczupłym“! A skarga rozbrzmiewa w ustach tysięcy szczególnie należących do płci pięknej. Autor tego artykułu powołuje się ni mniej, ni więcej tylko na Napoleona i na Bismarcka, jako, że oni obaj odznaczali się dobrą tuszą. Świat należy do otyłych — obwieszczono czarno na białym i wskazano na konieczność kuracji tuczącej. „Zdrowy człowiek cieszy się, gdy widzi, że jego ciało stało się okrągłe, ponieważ to odpowiada jego ideałowi piękności“. Następnie zostały podane przepisy, w jaki sposób chudzi (słowo szczupły zdaje się w ogóle wtedy nie było znane) mogą osiągnąć okrągłość kształtów. Dieta tucząca winna się składać z zup, słodyczy, legumin, słodkich owoców itp. Ryż na mleku, kompot z fig i daktyli, strucel z jabłkami, jak również ich knedle z szynki i słoniny — oto pożywienie odpowiednie dla chudego, który chce nabrać lepszej formy. Oprócz tego 10 godzin snu, umiarkowana praca fizyczna, częsty wypoczynek na wygodnych fotelach, powstrzymywanie się od intensywnej pracy umysłowej i wreszcie, jak uczy doświadczenie, unikanie gniewu i wszelkiego rodzaju emocji. Jeżeli chudzi wezmą sobie to wszystko do serca, wtedy ich życzenie się spełni i osiągną swój wymarzony cel, uroczą pulchność swojego ciała“. Widać z tego, że w owych czasach panie miały takie same kłopoty z tyciem, jakie dziś mają z chudnięciem. Jeżeli jednak chodzi o punkt widzenia małżonka i żywiciela, to przyznać trzeba, że dzisiejsza moda jest zdrowsza dla kieszeni.

Świat i życie

Zmierzch jeszcze jednego zawodu

Zajęcie latarnika, dozorcy latarni morskiej nie należy do łatwych i przyjemnych. Latarnie, mające ostrzegać żeglarzy przed niebezpieczeństwem i wskazywać im kierunek, umieszczone są z reguły w miejscach mało dostępnych, wśród zdradliwych mielizn, skał i raf podwodnych, gdzie w czasie spokojnej pogody trudno się dostać, a gdy przyjdą burze i mgły to o jakiejkolwiek komunikacji z brzegiem nie może być mowy. W ten sposób obsługujący latarnię skazani są na siebie samych, muszą pełnić swe odpowiedzialne obowiązki samotnie, żywić się konserwami, jak żołnierz w oblężonej twierdzy.

Nic dziwnego, że w miarę rozwoju techniki, a zwłaszcza po udoskonaleniu komunikacji radiowej, pozwalającej na uruchomianie rozmaitych instrumentów na odległość bez jakiegokolwiek połączenia materialnego, zaczęto myśleć o zastąpieniu żywych ludzi na odludnych posterunkach przez przyrządy automatyczne, kierowane i kontrolowane z wygodnego i ciepłego pomieszczenia na brzegu, odległego nieraz o kilka lub kilkanaście kilometrów od lądu.

Myśl ta dojrzewa i właśnie teraz już od pewnego czasu amerykański urząd morski prowadzi próby na wielką skalę, dające dotychczas dobre wyniki i pozwalające się spodziewać rychłego wprowadzenia automatycznej obsługi na wszystkich latarniach morskiego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Próby prowadzone są na jeziorze Św. Klary, należącym do grupy wielkich jezior i położonym między jeziorami Huron i Erie w Stanach Zjednoczonych. Zakotwiczono tam w miejscu trudno dostępnym statek o pojemności 160 ton, zaopatrzony we wszystkie aparaty, jakie powinna mieć dobrze wyekwipowana latarnia morska.

A więc w dzień i przy ładnej pogodzie odzywa się ze statku co dwadzieścia sekund uderzenie dzwonu a dzwon ten jest uruchomiany za pomocą mechanizmu poruszanego sprzężonym kwasem węglowym, którego zapas w butlach stalowych starczy na kilka miesięcy. Kwas węglowy, jak wiadomo, jest dziś powszechnie używany do gazowania napojów chłodzących, piwa, wody sodowej itp., jest więc artykułem powszechnego użytku, można go wszędzie dostać w nieograniczonej ilości; zastosowanie go więc do automatu z dzwonem, nie stanowi żadnej trudności.

Oprócz dzwonu działa jednocześnie na tej automatycznej latarni zupełnie nowe urządzenie, mianowicie nadajnik radiowy, który co cztery minuty wysyła w przestrzeń dane, oznaczające pozycję latarni. W ten sposób statki zaopatrzone w odbiorniki radiowe, a dziś mają je wszystkie, otrzymują co cztery minuty dokładną wskazówkę co do tego, gdzie się znajdują. Ale oto nadchodzi zmierzch i na maszcie zapala się automatycznie potężna latarnia elektryczna. Prądu dostarczają baterie akumulatorów, a ponieważ wiadomo jest ile prądu zużywa latarnia, więc odpowiednio do tego uregulowane są mechanizmy zegarowe, które co jakiś czas puszczają w ruch motor i dynamomaszynę, ładującą akumulatory.

Latarnia na maszcie zapala się, gdy wskazówka dotknie kontaktu i przepuści prąd, a gaśnie, gdy wskazówka dotknie innego kontaktu. Ale zapalanie i gaszenie nie może się odbywać zawsze o tej samej porze, musi iść razem z wydłużeniem i skracaniem dnia. Więc kontakty, o których mowa, nie są stałe, są poruszane przez specjalny zegar astronomiczny tak, że zetknięcie się ze wskazówkami następuje w coraz innych godzinach, odpowiednio do tego, jak zmienia się czas zachodu i wschodu słońca.

Gdyby przypadkiem latarnia elektryczna odmówiła z jakichkolwiek przyczyn posłuszeństwa, wówczas automatycznie zastępuje ją latarnia acetylenowa, zasilana z zapasu gazu w butlach. Tak się dzieje przy pięknej pogodzie, gdy jednak nadciągnie mgła, ten śmiertelny wróg marynarzy, wówczas wkracza człowiek, dozorca latarni, mający swą kwaterę w wygodnym domku na brzegu. Rola jego nie jest skomplikowana: łączy tylko odpowiednie kontakty i z nadajnika radiowego idą ku statkowi-latarni fale pewnej długości, na które nastrojony jest na statku odbiornik, regulujący czynności syreny okrętowej i za chwilę syrena ta zaczyna się odzywać ostrzegawczym głosem w przepisowych odstępach czasu.

Takie uruchomianie mechanizmu przez radio na dystans jest wielką zdobyczą naszej techniki, ale dziś oswoiliśmy się z nim wszyscy: przecież u każdego radiosłuchacza fale radiowe wprawiają w ruch głośnik; na tym okręcie-robocie zamiast cewki głośnika, uruchomiają kontakt, poruszający w ruch syrenę Za pośrednictwem przez dozorcę drugiego kontaktu, nadajnik radiowy na okręcie, który dotychczas wysyłał w przestrzeń dane odnoszące się do pozycji latarni, co cztery minuty, zaczyna je wysyłać bez przerwy, tak, że mimo mgły kapitan pływającego okrętu może z pomocą sygnałów syreny i radiowych określić zupełnie dokładnie, gdzie się znajduje

Wszystkie aparaty na statku-latarni są podwójne, tak, że w razie zepsucia się jednego, może być natychmiast uruchomiony drugi. Kontrolę nad tym ma dozorca na brzegu, do którego dochodzą wszystkie sygnały ze statku, niektóre wprost, inne za pośrednictwem mikrofonu i radia. Ma więc zawsze możność włączyć zapasowy aparat, gdy pierwszy się zepsuje. Naprawę przeprowadzi w stosownym czasie załoga kontrolna, odwiedzająca co jakiś czas latarnię i sprawdzająca czynności aparatów. Próby te, prowadzone już od roku, dają, jak wspomnieliśmy, zupełnie dobre rezultaty i prawdopodobnie niedługo zacznie się budowa takich automatycznych latarń na wybrzeżu obu oceanów. Zawód latarnika w dzisiejszej swej postaci zniknie, ustąpi miejsca znacznie mniej niebezpiecznemu i wygodniejszemu zawodowi dozorcy, operującemu z brzegu.

Ze świata

Dzieje jednej fotografii

Stolica naddunajska pasjonuje się nie tylko wielkimi procesami kryminalnymi i politycznymi. Mała sprawa potrafi również zainteresować wiedeńczyków i sprowadzić do sali sądowej tłumy, jak na najbardziej sensacyjny proces.

Sprawa była rzeczywiście błaha. Posłaniec nr. 898, zajmujący od lat posterunek przy jednej z kawiarń na Kärtnerstrasse zdrzemnął się na ławeczce przy wejściu do kawiarni. Skorzystał z tego fotograf. Ułamek sekundy i zdjęcie zrobione.

Fotografia była doskonała. Opublikowano ją najpierw w jednym z tygodników, a następnie reprodukcja dostała się nawet do muzeum historii sztuki, przedstawiała bowiem doskonały typ ginącego już w wieku telefonów i poczty pneumatycznej posłańca.

Posłaniec nr. 898 przypadkowo jednak zobaczył swoją podobiznę w tygodniku. Dowiedział się, że ta sama fotografia znajduje się również w muzeum.



Starsza pani, jadąca na rowerze, to królowa holenderska Wilhelmina, która w tych dniach ma zostać babką.

Wzburzony do głębi, złożył skargę przeciw fotografowi, wydawnictwu tygodnika i dyrekcji muzeum. Domagał się 600 szylingów odszkodowania, mimo, że oskarżeni twierdzili, że fotografia powinna być dla niego raczej reklamą.

— 34 lata jestem na moim posterunku, wszyscy mnie znają. Taki wstyd. Jakbym nic nie robił, tylko spał. Co sobie pomyślą moi klienci. Jestem przecież człowiekiem, też się mogę zdrzemnąć. Ale żeby zaraz fotografować! — skarżył się numer 898 przed sądem. — I jeszcze wywiesili mnie w panoptikum.

Sędzia jednak zdołał pogodzić strony. Posłaniec musiał zadowolić się 50 szylingami. Zresztą proces zrobił go sławą we Wiedniu. Nie ma już czasu na drzemkę przed kawiarnią, jest stale zatrudniony, i źdz i biega z listami po całym świecie. Stał się modny.

Savoir vivre

Postawa, ruchy

Człowiek dobrze wychowany ma pewność, że potrafi się odpowiednio znaleźć w każdej okoliczności życia. Nie znać przeto na nim nigdy zakładania ani zmieszania.

Mało czym można tak zaimponować ludziom, jak dobrą, pełną godności postawą. Aby ją posiąść, trzeba pamiętać o kilku szczegółach. Przede wszystkim zalecamy proste trzymanie się. Osoba zgarbiona, wciskająca głowę w ramiona sprawia wrażenie zalęknionej, skłopotanej. Człowiek pragnący wyglądać elegancko trzyma się prosto, zarówno chodząc, jak stojąc i siedząc. Jednakże, jak brzydko wyglądają ci, którzy swoim zgnębionym wyglądem narzucają postronnym myśl o nieszczęściu — tak również rażą wszyscy, którzy są zbyt swobodni, wszędzie i zawsze poczynają sobie z nonszalancją i zuchwalstwem. Jest to dowód braku ogłady towarzyskiej.

Kobietom szczególnie zaleca się unikanie gwałtownych, kanciastych ruchów. Wszystkie kobiety powinny uważać na swój chód — trzymać się prosto, oduczyć się podskakiwania, dawania zbyt małych albo za dużych kroków, machania rękami, kołysania się lub garbienia pleców i spuszczania głowy na dół.

Należy też nie pozwalać sobie na zbyt żywą gestykulację, rozmaite nerwowe ruchy, uderzanie się dłonią po kolanie, wyrzucanie nogą, hiseryczny śmiech itp.

Przykre wrażenie sprawiają osoby, które nie wiedzą, co począć z rękami. Rękami należy wykonywać ruchy gładkie, okrągłe, i przede wszystkim potrzebne. Pracowanie — że tak powiem — rękoma na efekt jest też w złym tonie i świadczy o płytkiej próżności ich właściciela. Rąk swoich nie należy się wstydzić, tak samo, jak nie należy próbować nimi błyszczeć.

Duży nacisk należy kłaść na opanowanie swego organu głosowego. Osoby gadatliwe, piskliwe lub ochrypniętym głosem na gwałt starające się przekonać, przegadać swoich rozmówców są zawsze przykre i niemile widziane w towarzystwie. Głos można, jak wszystkie w życiu, podciągnąć pod własną wolę, opanowując go przynajmniej tak dalece aby nie raził zbytnią chrapowatością, lub drażniącą piskliwością. Śpiewu też się człowiek nauczyć musi, choćby urodził się z najpiękniejszym głosem. Tak samo należy nauczyć się modulacji głosu, unikając oczywiście przesady, która prowadzi do śmieszności.

Stojąc około czyjegoś krzesła, nie wolno się o nie opierać. Nie siada się również na poręczy fotela, szczególniej, jeśli jest przez kogoś zajęty.

Mężczyźni powinni pamiętać o tym, że trzymanie rąk w kieszeniach przy wchodzeniu do salonu, lub podczas rozmowy z kobietą jest nieodpowiednie.

W końcu nie wolno się garbić, ani pochylać głowy, bo wszystko to bardzo nieelegancko. W ogóle nie należy zapominać o tym, że taniec jest jedną ze sztuk pięknych, winien zatem odpowiadać prawidłom estetyki. Ponadto pamiętać trzeba, żeby tańcząc w domu prywatnym, czy też lokalu publicznym jest się wystawionym na wygodną obserwację i narażonym na uwagi obserwatorów, którzy nie zawsze są ideałem delikatności i dyskrecji!

HENRY KORN

Na podniebnym szlaku

NOWELA

Jerzy zastał maszynę gotową do startu. Sprawdził silnik, — i bezwiednie prawie potarł dłonią skronie.

Dziś urzeczywistnią się właśnie jego marzenia. Chwila upragniona nadchodzi.. Chwila zwierzeń, za chwilę — na podniebnym szlaku. Tak. Jerzy dziś postanowił, gdy będą już w przestworzach, zwierzyć się ze swej miłości. Czy jednak to serce, to trzecie, stalowe silnika — będzie czułe i nie zawiedzie?...

— Ileż to razy, tu, na obczyźnie, czułem osamotnienie, czułem się zgubionym na tym dużym świecie. Zaś urojenia z snów różnobarwnych i marzenia były mi nieziszczalną złudą! Każdy ma swoje marzenia — i ja je miałem. Cóż zresztą może być piękniejszego w najśmielszych marzeniach, jak śnić o jakiejś zjawie, o czymś wielkim, co zwać można szczęściem! Ile to razy śniłem o królewnie z bajki z duszą i serduszkiem anioła, o dziewczynie, co niesie z sobą powiew wiosny, pachnącej kwieciem? A ileż to razy prosiłem Boga w zadumie wieczornej godziny o ujrzenie wielkich zjawę? — Nie na skrzydłach marzeń, ale może i także tęsknoty, przypłynęła podniebnym szlakiem, tu, w Afryki strony, z rodzinnego kraju, z Polski, polska lotniczka, osiadając przy mej farmie.

— Z tych rozwiązań wyrwał Jerzego potok słów Anny:

— To mi się nie podoba! Zamiast wznieść się, wypróbować maszynę, to on sobie duma, wsparty o śmigło! Widzę jak dzielnego mam...

— Ależ... przepraszam, czekałem na panią, a co do wypróbowania mej maszyny, to zbyteczne! Wiem co ona wytrzyma.

— Zatem siadajmy! Chwilę później znajdowali się na podniebnym szlaku. Jerzy w pewnej chwili zaczął coś kreślić w notesie, po czym wyrwał kartkę, podając Annie przez ramię.

„Anno! Jeżeli nie zgodzisz się zostać moją żoną, zginiemy oboje... Kocham Cię, — jak nikogo nigdy dotąd! — Pomyśl, jeden ruch a runiemy w przepaść... wybieraj.. czekam...

Jerzy".

W odpowiedzi otrzymał:

„Panie Jerzy! Wiem, że mógłbyś mi zapewnić przyszłość, bo jesteś bogaty! Wiesz jednak o tym, że nie jestem materialistką, i... i nie kocham! — Proszę nie robić głupstw!

Anna".

Na pozór płynęli w przestworzach dalej spokojnie. Po pięciu jednak minutach wyczuła Anna bezwolne przechylanie się dzioba w dół. W następnej chwili — a...

Czarni, sprzątający pola, zauważyli na białym tle nieba dwa małe punkty, które przybierały na wielkości w miarę opadania ku ziemi.

* * *

Jerzy uczuł dotkliwy ból w kościach. Zrazu nie mógł zrozumieć, gdzie jest, co się stało... czy śni? Oprzytomiał jednak szybko, zdając sobie dokładnie sprawę z wydarzeń ostatniej chwili. Myśl, — co się stało z Anną, dokuczała więcej niżli ból dotkliwy. W następnej chwili zebrał wszystkie siły, aby je ofiarować Annie, a później żebrać o ile zdąży, o przebaczenie. Szukał jej długo... może dwie, może trzy godziny, gdy naraz... uszu jego doszedł przeraźliwy krzyk. W jednej minucie znalazł się przy niej. Silnym uderzeniem w szczękę powalił czarnego.

— Jerzy! Znów niespodziewanie spotykamy się, pamiętasz... tak jak wtedy, gdy zmuszona byłam lądować koło twej farmy, nie wiedząc, że spotkam się z Polakiem, w dodatku młodym, przystojnym i... rycerskim!

— To nie ty Jerzy, lecz ja zawiniłam, opowiem Ci, ale chodź, bo gdy Murzyn oprzytomnieje, to niepotrzebnie... I tu zauważyli oboje, że Murzyn wsiąkł gdzieś, zapadł się jakby pod ziemię.

— Powiedz, jak się uratowałeś, Jerzy?

— Po prostu, gdy zauważyłem, że ty wyskoczyłaś ze spadochronem, uczyniłem to samo.

— Wiesz, Jerzyku, że ja wiedziałam, że i ty wyskoczysz, wierzyłam w to. — Kocham Cię i kocham ale... za biedna jestem dla Ciebie, nie chciałam się przyznać... nie miałam odwagi! Teraz, gdy wiem, że jestem wszystkim dla Ciebie, przyznaję się, gdyż i ja nie mogłabym żyć bez Ciebie, najdroższy.

Długi, pierwszy pocałunek połączył usta zakochanych...

— Anno! — powiedz co ów Murzyn zamierzał z tobą zrobić?

— Gdy ty, Jerzy, uderzyłeś go, on w tejże chwili zamierzał wbić mi w pierś sztylet. Och! — straszne!!! przybyłeś na czas, gdyż sił mi już brakło do obrony.

* * *

— Jerzyku! Może dziś znowu zachce się tobie głupstw? a może ja na odmianę wypróbuję moją maszynę?...

— Anno! Za kilkanaście godzin będziemy w Polsce. Tam niewysłowione szczęście! Dla Ciebie sprzedam farmę, rzucę wszystko, by żyć z tobą w Polsce, do której tak tęskniłem zawsze... Żal mi jeno własnej maszyny co zostanie tu na obczyźnie i rozbita.

— Anno! Podniebnym szlakiem utorowaliśmy sobie drogę do szczęścia!



Efektowne zdjęcie grupy saren, poszukujących żeru pod śniegiem.

Pozwólcie mi umrzeć na świeżym powietrzu, a nie w stęchłych murach więziennych.

Hiller był widocznie wzruszony spowiedzią błaganiem zbrodniarza, ale poczucie obowiązku obywatelskiego było u niego silniejsze niż litość.

Mimo próśb Leona, Franciszka i Billa, kazał Jacka Hamerlinga spętać i przywiązać do własnego konia, aby nie mógł uciec.

Przygnębiony więzień postępował za nim. Wszyscy milczeli.

Zagadka zjawiska była rozwiązana i większa część naszych podróżnych bardziej się nad Hamerlingiem litowała, niż zła była

Szczególnie Leon patrzał często na nieszczęśliwego, zaniedbanego delikwenta, którego sposób wyrażania się, świadczył o dobrym pochodzeniu i starannym wykształceniu, i zadawał sobie pytanie, jakiego rodzaju było przestępstwo Hamerlinga i co go mogło popchnąć do zbrodni!

Aby zaspokoić ciekawość czytelnika, podamy opis losów Jacka Hamerlinga w jednym z następnych rozdziałów.



Rumuński minister spraw zagranicznych Mirescu bawił ostatnio w Belgradzie, gdzie został serdecznie przyjęty przez jugosłowiańskiego premiera dra Stojadinowicza. Na zdjęciu od prawej min. Mirescu z żoną i premier Stojadinowicz.

ROZDZIAŁ CCXLIX.

Każdy jest sobie sam najbliższy.

Po owej konferencji z baronem Sturmfederem, który zaopatrzył ją sutym datkiem pieniężnym, wróciła Ilona do mieszkania pani Schnorr.

— Czy byli policjanci? — spytała po drodze stróża.

— Nie — odpowiedział tenże — nie było nikogo i widocznie, że Liza nie zadenuncjowała Schnorrowej. Pewno miała swoje dobre powody nie pokazywać i nie przypominać się policji, bo kto wie, jak ona tam zapisana!

— A może szpicle jeszcze przyjdą — odparła Cyganka, nie dzieląc zdania stróża — mogli się przecież spóźnić.

— Teraz już mogą bezpiecznie przyjść — śmiał się stróż — bo powietrze już czyste. Nie znajdą już ani jednej tasiemeczki, należącej do dziewcząt. Schnorrowa rozumie się na interesie!

Śmiejąc się, wchodziła Ilona na czwarte piętro i zastała Schnorrową jeszcze poirytowaną.

Oczekiwała jeszcze policji i od czasu do czasu otwierała okienko, wyglądając na ulicę, czy już nie nadchodzi.

Potem przystępowała do lustra, przyglądała się rzadkim swym włosom, przypudrowała czerwony nos, włożyła najpiękniejszy czepeczek z czerwoną wstążką i powiedziała sobie w duchu zadowolona, że jest jeszcze bardzo zuchowatą kobietką!

Jak nadejdą — monologowała — to nic mi nie zaszkodzą, bo zrobię na nich tak dobre wrażenie, że nie uwierzą w nic złego.

Wtem odezwał się dzwonek w przedpokoju, a pani Schnorr zaniepokojona mimo poprzedniej pewności siebie, pobiegła do drzwi i otworzyła je prędko z uprzejmym uśmiechem.

Oczekiwała policjantów i odetchnęła lżej na widok Ilony.

— To ty jesteś? — mruknęła do Cyganki.

Ilona obejrzała wystrojoną kobietę, od stóp do głowy z szyderczym uśmiechem, ale gdy weszła do pokoju, twarz jej spochmurniała.

— Takaś stara, a głupia — rzekła Ilona gniewnie — przecież wszystkie łóżka stoją od rana niepościelone! Było je lepiej uporządzić, zamiast się stroić jak na jakie święto.

Gdyby policjanci przyszli byliby się zaraz zapytali kto spał w tych łóżkach i to byłoby cię zdradziło. Nawet twój czerwony czepek, nie byłby ci pomógł!

Twarz pani Schnorr przedłużyła się.

— Widzisz, rzekła na swe usprawiedliwienie — miałam tyle do czynienia, że nie wiedziałam do czego się pierwej wziąć.

— Głupia gęś — mruknęła Cyganka i zaczęła ścielić łóżka. Potem wezwała Schnorrową, aby jej pomogła wynieść żelazne, składane łoże z bawialnego pokoju, co ta uczyniła sapiąc i stękając.

Teraz wszystko w porządku — rzekła Ilona zadowolona — dawaj mi prędko co zjeść, bo mi żołądek burczy z głodu. Prócz szklanki kawy, nic dziś w ustach nie miałam. Muszę mieć kawał mięsa i kromkę świeżego chleba.

Pani Schnorr podała jej skromne resztki wczorajszej kolacji, to jest szkielet gęsi, której mięso Schankel Pipa starannie poobkrawał. Ilona spojrzała gniewnie na stół i rzekła:

— Dałam ci wczoraj całego guldena, mam więc prawo żądać lepszego posiłku. Jestem też pewna, że masz w domu kawałek kiełbasy i trochę sera, daj mi to więc do zjedzenia!

Widząc, że się Ilona nie da wyzyskać, przyniosła pani Schnorr żądane przysmaki ze swej spiżarni i rzekła uniewinniająco:

— Wróciłam dopiero wczoraj do domu i nie wiedziałam nawet, czy mam jeszcze jakiekolwiek zapasy. Myślałam, że służące w mej nieobecności wszystko zużyły!

Ilona nic nie odpowiedziała, tylko jadła łapczywie, i dopiero gdy głód zaspokoiła, zaczęła:

— Powiedziałam ci już wczoraj o tej dziewczynie, która jedzie do Ameryki i którą ty musisz koniecznie złapać w swoje sieci.

— A wydatki, a wszystkie koszta podróży? Kto mi je zwróci? — pytała pani Schnorr.

— Ależ takiego ptaszka ty jeszcze nie miałaś — odparła Ilona — mówię ci, że będą się darli o tę dziewczynę. Wzbogacisz się przez nią!

— Jestem biedna wdowa i nie mogę ryzykować, jeżeli nie chcę kiedyś umrzeć z głodu na ulicy — rzekła pani Schorr — i tak się nad swoim losem rozczuliła, że uroniła kilka łez, które zostawiły ślady na napudrowanych policzkach.

— Nie bądź głupia — irytowała się Ilona — któż ci mówi, że masz wyłożyć z własnej kieszeni? — Ile kosztuje bilet do New-Yorku?

— Ja muszę mieć bilet tam i na powrót i odszkodowanie za interesa, które w czasie swej nieobecności tu tracę — rzekła Schnorrowa — ośmielona dobrym skutkiem.

— Tracisz tyle, że cię nie zaaresztują — drwiła sobie Ilona — powinnaś mi jeszcze być wdzięczną, za zmianę powietrza, którą będziesz miała z okazji podróży.

— Co? Zostawię tu interes i będę płaciła czynsz, aby pojechać dostawszy tylko na koszta podróży? — krzyczała pani Schorr i ciskała na Ilonę błyskawice gniewu. — Tego by mi jeszcze brakowało!

— Zamiast krzyczeć, powiedz lepiej spokojnie, czego żądasz? — nagliła Ilona.

Pani Schnorr namyśliła się chwilę i zaczęła się rachować:

Trzecia klasa do Hamburga...

— Trzecią klasą chcesz jechać? — oburzyła się Ilona — a czwartą nie dość?

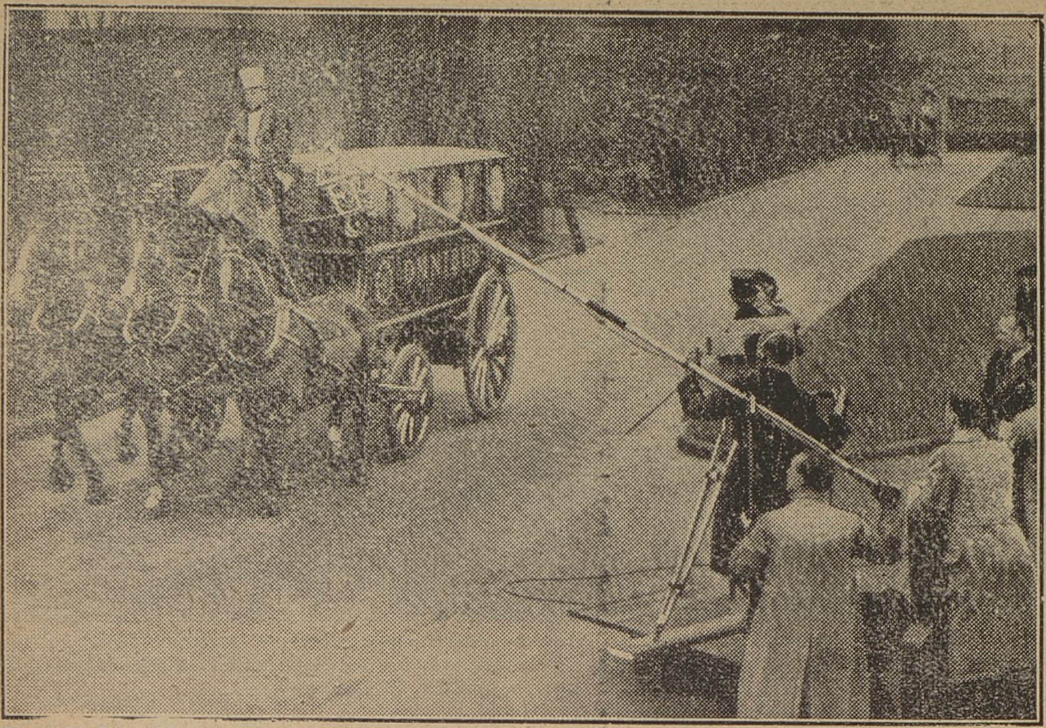
— Z tą hołotą w czwartej klasie ja razem nie pojadę — odcięła się pani Schnorr — ja jestem porządna kobieta!

— Czwartą klasą jadą krawczynie, modniarki, panny sklepowe i inne bardzo porządne osoby — rzekła Ilona spokojnie — i ty czwartą klasą pojedziesz i basta!

Pani Schorr mruknęła coś pod nosem i rzekła wreszcie głośno:

Muszę mieć trzy tysiące, a jak mi się interes uda, to masz mi jeszcze dodać dwa tysiące. Ja nie myślę za darmo ryzykować. Ty pewnie większe korzyści z tego interesu będziesz miała, a ja się będę musiała przy nim namozolić. Muszę się też przekonać, czy masz dość pieniędzy, nim się do tego interesu wezmę. Sięgnij do kieszeni i pokaż, co tam masz!

— Jesteś okropnie ostrożna — odparła Ilona z pewnym respektem, dla praktyczności i rozsądku pani Schorr.



Na zdjęciu widzimy moment transmisji telewizyjnej w Anglii, podczas nadawania audycji z życia ubiegłego stulecia. Po prawej wydzimy kamerę telewizyjną, a w środku zawieszony na drągu bambusowym mikrofon.

Nie miała jednak zamiaru pokazać jej, ile rzeczywiście ma i dlatego rzekła:

— Daj mi scyzoryk, bo mam pieniądze wszyte do spódnicy i muszę je dopiero wypruć!

— Nie mam scyzoryka, tylko nożyczki — uniewinniała się Schnorrowa, podając jej nożyce.

— Dobrze, dobrze — rzekła Ilona — i wyszła z nożycami do drugiego pokoju.

— Teraz ona pewnie zaglada przez dziurkę od klucza — pomyślała Ilona — ale ja jej zepsuję żart!

To rzekłszy, zawiesiła na klamkę brudny ręcznik, który zdjęła z gwoździa, aby starej wiedźmie zasłonić widok i zasunęła po cichu rygiel, aby nie mogła wejść.

Potem siadła wygodnie na krześle i zaczęła przeliczać pieniądze, które dostała od barona Sturmfedera.

— Byłabym głupią — mruknęła — gdybym tej starej wiedźmie więcej dała jak 1.300 reńskich. Muszę przecież i o sobie pomyśleć. Kto wie, ile mi jeszcze pieniędzy będzie potrzeba, nim mi się uda zostać hrabiną Wildenstein. Stara czarownica nie śmie wiedzieć, ile mam, bo inaczej wszystko ode mnie wydusi.

Obliczyła 1.300 reńskich, a resztę starannie zawinęła i schowała za gors.

Tymczasem pani Schnorr daremnie stała pode drzwiami, starając się podpatrzeć chytrą Cygankę przez dziurkę od klucza.

— To coś wisi — mruknęła gniewnie — i zasłania mi widok. Jaka ta Cyganka niedowierzająca!

Zniecierpliwiona, zapukała wreszcie do drzwi, wołając:

— Jeszcześ nie gotowa? Chyba, że zaszywasz nazad swe pieniądze!

— Nie mam nawet igły i nitki, ale muszę się przecież na powrót ubrać — zawołała Ilona opryskliwie.

— Przede mną nie potrzebujesz się przecież wstydzić — rzekła pani Schnorr obrażona — to by było najlepsze gdybyś...

Nie mogła dokończyć zdania, gdyż upadła ciężko na ziemię. Była to sztuczka Ilony, która chciała ukarać Schorrową za jej podsłuchiwanie i podpatrywanie.

Odsunęła ona cicho rygiel i nagle otworzyła drzwi, o które Schnorrowa opierała się całą siłą ciała; naturalnie więc, że straciła równowagę i upadła mocno na ziemię.

— Ojej! — jęczała pani Schnorr — jak mogłaś być tak nikczemną! Złamałam sobie pewnie jakąś kość!

— Jakżeż ja mogłam wiedzieć, że ty stoisz przy drzwiach i nadsłuchujesz? — uniewinniała się Ilona z niewinną minką.

— Nie podsłuchiwałam — usprawiedliwiała się stara i podniósłszy się prędko z ziemi, rzekła:

— A teraz pokaż prędko swoje pieniądze!

— Oto są, — odparła Cyganka lakonicznie, pokazując Schnorrowej banknoty, które mocno trzymała w ręku.

— Daj mi je do rąk — żądała stara wiedźma — bo muszę się przekonać, czy te banknoty rzeczywiście są prawdziwe.

— Nie chcę cię wieść na pokuszenie — zaśmiała się Cyganka — ale wiesz co? Załóż ręce na plecy, a ja banknoty na stół położę, abyś je mogła dobrze obejrzeć.

Po krótkim przemawianiu, zdecydowała się Schnorrowa wreszcie zgodzić na żądanie Cyganki. Założyła ręce na plecy i zaczęła się przypatrywać banknotom iskrzącymi chciwością oczyma.

— 1.300 reńskich — rzekła przeciągłym głosem — czy nie masz więcej?

— Nie, — zapewniała ją Ilona i na potwierdzenie wywróciła próżną kieszeń.

— To jest okropnie mało — rzekła Schorrowa pozornie niezadowolona, a w duchu uszczęśliwiona, gdyż suma ta przeszła jej oczekiwania.

— Ale musisz te pieniądze zostawić u mnie — dodała stara chytro — abym miała gwarancję, że serio myślisz o tym interesie.

Cyganka oburzyła się na to przypuszczenie.

— Gadaj sobie, ile chcesz! — zawołała Schnorrowa — a ja przy swoim obstaję. Dla mnie czas jest pieniądz, i ja muszę być na każdy wypadek pewna, że ty nie zmienisz swego postanowienia.

— No, to dam ci w każdym razie 300 złr na zadatek — rzekła wreszcie Ilona — widząc, że ze starą inaczej do końca nie przyjdzie.

— To za mało — odpowiedziała pani Schnorr krótko.

— To nic nie dostaniesz! — rozłościła się cyganka i zgarnęła pieniądze do kieszeni.

— Niech i tak będzie — rzekła stara spokojnie, mimo, że w duszy wrzała i kipiała ze złości — jak nic nie dostanę, to też nic nie zrobię! Możesz się za inną pomocą oglądać!

— Pewno, że sobie kogo innego do pomocy wyszukam — wrzasnęła Ilona. — Ty jesteś nienasycona i wszystko chciałabyś zagarnąć.

— Pewno, jeśli ty cały zysk chcesz mieć dla siebie — skarżyła się Schnorrowa — ja dla ciebie nie myślę pracować i muszę też o swoim interesie pomyśleć. Gdybym tak przy tej sposobności mogła zabrać 10—12 innych dziewcząt do Ameryki, to by mi się to opłaciło i zadowoliłabym się 300 guldenami, które mi dajesz na zadatek.

— Ależ to nie idzie! — zapewniała ją Ilona — nie śmiesz mieć ani jednej dziewczyny więcej przy sobie. Sylwia nie jest byle kto i nie da sobie nic wmówić.

— Sylwia! — Co za niezwykłe imię! mruknęła stara — nie musi ona być gminnego pochodzenia!

— Nie, — zaśmiała się Ilona brzydko — jest ona co najmniej hrabianką.

— Na to się nie pisze — zatrwożyła się Schnorrowa — bo jak znika człowiek tak możnej rodziny, to zaraz niebo i ziemię poruszają, aby ją odnaleźć!

— Ja tylko żartowałam! — rzekła Cyganka! — Ona jest córką leśniczego, który siedzi w kryminale za to, że sam podpalił swój dom i stajnię, aby wziąć wysoką asekurację i popłacić swe długi. Tymczasem przyłapano go na gorącym uczynku i wzięto do więzienia, a że dziewczyna nie chce, aby na nią tu palcami pokazywali, życzyłaby sobie koniecznie jak najdalej stąd wyjechać.

Schnorrowa przysłuchiwała się uważnie temu opowiadaniu, a gdy Cyganka skończyła, odpowiedziała jej spokojnie:

To są bajki, moja kochana, bo w tym wypadku nie miałabyś powodu wysyłać ją do Ameryki, a tobie jak widzę, bardzo na tym zależy, aby ona się znalazła jak najprędzej na drugiej półkuli. Musi ona znać jakąś twoją tajemnicę, której zdradzenia się obawiasz, albo coś w tym guście. Zresztą, jest mi to obojętne i nic mnie nie obchodzi, bylebym tylko dostała swoje pieniądze. Daj mi tych 1.300 złr a będziemy najlepszymi przyjaciółkami!

— Wierzę — szydziła sobie Ilona — miałabyś mnie w ręku i robiłabyś to, coby ci się podobało, a mój interes byłby w drugim rzędzie.

— Nigdybym tego nie zrobiła! — broniła się pani Schnorr.

— Znam ja się na takich frazesach pustych gadaniach — śmiała się Ilona.

— Myślisz, że poleciałabym na policję, by cię zaskarżyć? Przecie sama bym się dostała do kryminału! Cóż ty więc stracisz, wyrzucając mnie za drzwi? Co zaryzykujesz?

— Zaryzykuję, że możesz się rzucić na mnie i wepchnąć mi nożyk między żebra — odpowiedziała pani Schnorr — patrząc na drapieżne oczy Cyganki.

— Nie byłabym taka głupia — odparła Ilona — bo odebrałabym sobie nadzieję odzyskania pieniędzy. Zresztą jesteś mi potrzebna jako narzędzie, do wykonywania moich planów.

W ten sposób dyskutowały rozmowne niewiasty długi czas, wreszcie Ilona z przekleństwem wręczyła pani Schnorr 13 stoguldenówek.

— Trzynaście, to zła liczba — lamentowała pani Schnorr.

— To weź 12 — odpowiedziała Ilona, wydzierając jej setkę.

Na to pani Schnorr tak zaczęła wrzeszczeć, że Ilona banknotem musiała jej zatkać usta.

— Dołóż przynajmniej jeszcze jedną — prosiła mama Schnorr — trzymając wciąż w kieszeni rękę na pieniądzach, jakby się bała, że Ilona je jeszcze zechce wydrzeć.

— Skąd ci wezmę! — odparła Ilona — nie mam już sama nic. Nie urodzę setki! Teraz ty pamiętaj, żebyś mi się dobrze sprawiła, bo biada ci, jeśli nie!

— Nie bój się! — broniła się mama Schnorr — kto mi tak porządnie płaci, za tego ja pójdę w ogień.

— Jak go kto zgasi! — śmiała się Ilona.

— Zobaczysz — zaklinała się Schnorrowa — ale powiedz mi — spytała — co ty będziesz robić?

— Ja pojadę tam, gdzie ta dziewczyna mieszka — odpowiedziała Ilona — dowiem się, kiedy odjeżdża, czy na Hamburg, czy na Bremę i dam ci znać.

— Możebym ja z tobą pojechała! — spytała mama Schnorr — i tak nie mam nic do roboty. Że Eliza i Matylda były w zmowie i teraz są za górami, to jasne. Inne dziewczęta Schankel Pipa dawno już wywiózł, tak, że ja jestem teraz bez dziewcząt i świeżego towaru nie spodziewam się tak prędko. Weź mnie ze sobą.

— Nie, ty się nie śmiesz pokazywać w tamtej okolicy, tak, żeby ona cię zobaczyła po raz pierwszy w wagonie. Czekaj z pakami i pakunkami na dworcu we Wiedniu, aż Sylwia przyjedzie. Ja chyłkiem przyjadę za nią, tak, żeby mnie nie zobaczyła i pokażę ci, która to jest. Ona jest uprzejma. Siądź sobie do tego przedziału, w którym ona będzie jechać i udawaj głupią, co ci będzie łatwo, boś nigdy nie grzeszyła zbytkiem mądrości.

— No, no! — obraziła się pani Schnorr — wypraszam sobie takie komplementy. Gdybym naprawdę była taka głupia, nie dawałabyś mi takich trudnych zleceń.

Zamiast się obrazić, przerwała jej Ilona mówiąc:

— Słuchaj lepiej, co ci mówię. Masz przed nią udawać nieporadną babę z małej dziury, która nie umie sobie dać rady w tak dalekiej podróży. Ona się naturalnie spyta, gdzie jedziesz, a ty powiesz, że do Ameryki i będziesz lamentować, że boisz się jechać przez wodę i o to, żeby cię nie oszukali i nie okradli, a w dowód zaufania pokażesz jej pieniądze, jako cały swój majątek.

— A jak ona sobie zatrzyma te pieniądze — wahała się pani Schnorr.

— Głupiaś — odcięła Ilona — ona prędzej by zdechła z głodu, nimby ruszyła cudzy grosz. Udawaj ty tylko nieporadną babę, to ona już się tobą zaopiekuje. Kupisz sobie bilet okrętowy tam, gdzie ona, a na okręcie przyczepisz się do niej jak pijawka. Reszta sama już przyjdzie.

— A moja zapłata? — spytała pani Schnorr — te 1.300 reńskich, to chyba nie dość.

Ilona zaklęła przez zęby.

Dam ci jeszcze 700 reńskich — rzekła wreszcie, ale dopiero na okręcie.

— Co? aż na okręt będziesz jechać za nami? — zdziwiła się pani Schnorr — i chcesz, żeby ona cię nie widziała!

— Nie bój się, już ona mnie nie zobaczy! — odpowiedziała Ilona — ale teraz idę już, bo mi pociąg ucieknie.

— Powiedz mi przynajmniej, jak się ona nazywa i gdzie mieszka — prosiła Schnorrowa — przecież człowiek musi wiedzieć na czym stoi.

— Dowiesz się — odparła Ilona — ale dopiero wtedy, gdy to będzie konieczne. Tymczasem nie będziesz mogła nic rozgadywać, bo sama nic nie wiesz. Bądź zdrowa, a niezadługo posłyszysz coś o mnie.

To rzekłszy poszła.

Pani Schnorr patrzyła za nią.

— Niebezpieczna osoba — szepnęła — nie chciałabym ją mieć za wroga. Interes dobry, dobrze, że Schankel Pipa nic o tym nie wie, bo by mnie oszukał i tu, jak zawsze. Dobrze też, że wyjadę z Wiednia na pewien czas, bo jakkolwiek teraz niebezpieczeństwo minęło, to jednak, kto wie?

Wzięła do ręki tak zwaną książeczkę od bielizny i zanotowała tam różne pozycje.

— Szkoda, że Eliza i Matylda uciekły — szeptała. Nigdy nie można zrobić dobrego interesu, zawsze człowiek coś musi stracić.

ROZDZIAŁ CCL.

Straszliwe odkrycie.

Maks Zierbold, pomocnik leśniczego, szedł z psem przez las.



Śląsk po stronie niemieckiej przeżył kilkudniową burzę śnieżną, która uniemożliwiła wszelką komunikację.

Zmartwiony był bardzo tym, że Herbert siedzi w więzieniu i Bóg wie jak długo jeszcze będzie siedział.

Nagle pies zaczął szczekać.

— Turek — zawołał Maks — cicho!

Ale pies pobiegł w gąszcz i tam zaczął wyć przeraźliwie.

Maks zaniepokojony poszedł za nim i spojrzawszy między krzaki, zbladł jak chusta.

Między krzakami leżał trup człowieka, z którego kruki, a może wilki powyrywały już kawałki ciała.

Dookoła leżały gałęzie, którymi trup prawdopodobnie był przykryty.

Musiał to być stary człowiek, bo włosy miał siwe, ale twarzy porozdzieranej przez drapieżne zwierzęta, nie można już było poznać.

Maks jeszcze raz lękliwie rzucił okiem na trupa i poszedł zawiadomić władze.

W Koenigswalden rzadko kiedy zdarzała się podobna sensacja.

Toteż cały las napełnił się ciekawym tłumem, w którym był także ajent z gospody i gospodyni u której Ignacy ostatni raz jadł posiłek.

Gospodyni go też pierwsza poznała.

— Na miłość Boską! — zawołała — to Ignacy, ja się też dziwiłam, czego on nie wraca! A przeczuwałam, że mu się stanie coś złego, gdy mi pokazywał swoje złoto.

— On bywał u pani? — spytał ją zaraz ajent.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedziała gospodyni.

— Czy miał on dużo pieniędzy — pytał Mehlhose dalej.

— Widziałam pełną garść złotówek — opowiadała kobieta — lecz ile tam było, nie wiem.

— Może się pani tylko tak zdawało, że to było złoto, badał ajent dalej — może to były nowe centy.

— Nie, nie! — zaprzeczyła stanowczo gospodyni — mogę przysiąc, bo jedną taką złotówką płacił mi za jedzenie. Ja ją jeszcze mam i mogę pokazać!

— Kiedy był on u pani ostatni raz?



W czasie konferencji sygnatariuszów paktu trzech w Budapeszcie, kanclerz Austrii dr. Schuschnigg i włoski minister spraw zagranicznych Ciano złożyli wieniec na grobie nieznanego żołnierza.

— Ba, kiedy nie pamiętam! — namyślała się gospodyni — może siedem, może czternaście dni temu.

Żandarm przeszukiwał tymczasem kieszenie trupa.

— Nie ma ani centa — rzekł.

— Więc to dla rabunku — skonstatował ajent — a który z was widział go po wyjściu z gospody? — spytał.

Nikt nie odpowiadał.

— Przypomnijcie sobie — nalegał ajent — ktoś go musiał widzieć!

— Nie, proszę pana — odpowiedziała gospodyni — bo ja co dzień pytałam się o niego, ale nikt go nie widział.

— A kto był w izbie, jak on pokazywał złoto?

Gospodyni w odpowiedzi, wymieniła nazwiska kilku szanowanych gospodarzy.

— Chyba żaden z nich! — mruknął ajent.

Wziął gospodynię za rękę i odprowadził ją na stronę.

— Pani gospodyni — rzekł schlebiająco — pani jest mądra i rozsądna osoba, może mądrzejsza, niż niejeden mężczyzna.

— W moim interesie to trzeba mieć głowę — odpowiedziała gospodyni dumnie.

— Ale pani ma nie tylko rozum — mówił dalej ajent — pani ma i pamięć. Jak pani zechce, to pani sobie przypomni, kto tam jeszcze wtedy był. Może jacy czeladnicy?

— Nie, czeladników nie było, ale była Tryna ze swoim kochankiem. Henryk się pytał, czy nie ma czego do ostrzenia albo zalutowania i pił wódkę.

— Henryk? ten pijak z czerwonym nosem? — spytał ajent.

* * *

— Tak jest ,proszę wielmożnego pana.

— A ta Tryna, jego kochanka, także nie ma dobrej sławy?

— Tak jest! — potwierdziła gospodyni. — Dawniej, to ona była porządna. Ale teraz oho!

— A Henryk miał pieniądze w ten pamiętny dzień tu w gospodzie? — egzaminował dalej ajent.

— Ale gdzie tam! ani grosza — zawołała kobieta — to Ignacy płacił jemu i Trynie.

Ajentowi oczy zabłysły.

— I on wyszedł z nimi? — spytał.

— Nie, oni poszli wcześniej. Ona chciała u niego wyżebrać czerwoną chustkę jedwabną, ale on nie dał i nie chciał z nimi iść, jak go prosili.

— A czy oni potem wrócili?

— Tak jest, byli znowu wieczorem.

— A mieli już pieniądze?

— Nie. Henryk klął, że nie może znaleźć roboty, a Tryna płakała, że bieduje, więc pozwoliłam im przespać się w stajni.

— A długo jeszcze potem byli w Königswalden? — spytał ajent niezadowolony.

— Oni jeszcze tu są — odpowiedziała gospodyni. — ojciec Tryny dogorywa i Henryk powiedział, że jak stary umrze, to się z Tryną ożeni, bo ona coś musi dostać po starym. Teraz oni wciąż łażą tam do starego i czekają jego końca, a tymczasem Henryk dusi macochę Tryny, żeby dawała pieniądze. A ona boi się go i czasem mu coś da od odczepnego. Raz mu dała nawet złotówkę!

— Złotówkę? — spytał ajent — a widziała ją pani?

— Samam mu ją zmieniła. Raz kazali sobie dać jeść, potem on mi rzuca tę złotówkę i powiada:

— To od mojej teściowej! Napisałem jej tak, że się bała i musiała dać.

— Chłopki są skąpe i nie rozdają tak chętnie złotówek — zauważył ajent — gdzie mieszka ojciec Tryny?

— W tej ładnej, dużej chacie na końcu wsi.

— Aha, pamiętam — rzekł Mehlhose — ale coś pani jeszcze powiem. Niech pani mi da słowo, że pani nikomu o tym nie powie, cośmy tu mówili. Gdyby się Henryk dowiedział, byłby zły. Mnie to nic nie szkodzi, bo wyjadę, więc to co mi zrobi! Ale na co pani ma mieć wroga w takim pijaku, żeby się mścił?

— O, ja nie powiem! — zapewniła gospodyni — każdy karczmarz musi mieć trzy zalety, mówiła moja nieboszczka matka: Nie lubić wódki, nie lubić kart i nie mieć nieprzyjaciół, tylko być w przyjaźni z całą wsią. Żeby się mój mąż trzymał tego, byłoby nam lepiej. Szynkarz musi umieć mówić i milczeć, mówiła moja nieboszczka matka! Ja nie powiem!

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

uł. Jan Feliks Płóciennik.

Ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) Rośliny, zwisające z wazonów, częste w mieszkaniach.
2) Mała maczuga pasterska.
3) Jezioro koło Gniezna.
4) Dziwny, rzadki.
5) Tryl — kosa albo dzwońca.
6) Zbiory na polu z piętnastu snopów zboża.
7) Zwierzę domowe w liczb. mnog. (wspak).
8) Miejsce publicznej sprzedaży.
9) Praca przy bydle.
10) Wrzawa, inaczej.
11) Poczucie swej wartości, duma.
12) Budynek, przeznaczony dla służby dworskiej.
13) Instrumenty dęte (liczb. mnog. wspak).
14) Imię męskie zdrobn.
15) Koncert przed radiem.
16) Szybko, prędko inaczej.
17) Lekki statek spacerowy z żaglami (st. pis.)

Sylaby: a — am — as — bic — bie — brzą — chy — czwo — dek — dło — dyc — fa — fan — ga — go — got — gi — gu — ja — ja — jaz — ka — ki — ko — ko — la — le — li — mend — nal — ny — o — o — pa — ra — ra — ry — ry — siek — sy — śpiew — tar — to — ty — tów — u — wis — yach — żo.

Bilety wizytowe

uł. „Eros".

WERA ZĘDESZICZ

WANDA BŁAGIERĄSKA

ELA WARDIME

Odgadnąć trzy pseudonimy z „Krainy".

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 4 lutego br.

Rozwiązanie zadań z nr. 3 „Moich Powieści": Kwadraty magiczne: Kwadrat 1: sol, osa, las. Kwadrat 2: sok, oko, kos. Kwadrat 3: bal, Ali, lis. Kwadrat 4: dom, Ala, maj.

Dopełnianka: „Wszędzie się znajdzie rozum, byle tylko szukać".

Ks. Krasicki.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Kujawą Teodor — Janów, Kulpikówna Jadwiga — Tuczno, Ziętara Marian — Kowalewo, Grąbkowska Alicja — Włocławek, Dulat Ludwik — Grudziądz, Lenart Tadeusz — Lubawa, Kiełbratowski Anastazy — Poznań, Janicki D. — Gniezno, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Zagórska Weronika — Bydgoszcz, „Złote Słoneczko", Nowakowa Eleonora — Chełmża, Czernichowski Antoni — Kraski.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Grąbkowskiej z Włocławka i Kiełbratowskiemu z Poznania.

7)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Jaz nie mógł się gniewać na Cliffa, tym bardziej, że w duchu przyznawał mu rację. Więc co, miss Murray podoba mi się — próbował wyperswadować sam — każda piękna kobieta może się podawać i nie widzę w tym nic dziwnego. Ale co tam ten Cliff wspomniał o... zakochaniu. Ech... Machnął ręką i aby odegnać uporczywe myśli ,sięgnął bez namysłu po pierwsze z brzegu pismo z leżących na stole. W konsternacji nie zauważył nawet, że to nie jest tygodnik humorystyczny i że trzymał w palcach ostatnie wieczorne wydanie „Chicago Tribune", czyli dziennik - lekturę, od której Jaz stronił zawzięcie i konsekwentnie.

Niewidzącymi oczyma przebiegał nagłówki i naraz wzrok jego padł na duży napis u dołu. Oczy kapitana Kenta natychmiast „odzyskały" zdolność „widzenia" i przeczytał niemal jednym tchem:

„Dziś po południu wyjechał samolotem do Europy w specjalnej misji komandor Seldon Douglas. W hydroaparacie komandor S. Douglas żegnany był przez gubernatora stanu..."

Tu następowała dalsza litania nazwisk i frazesów i dwa zdania o dotychczasowym życiu komandora Douglasa i o jego zasługach jako asa wywiadu w czasie wojny światowej. — Lecz to wszystko nie zwróciłoby przecież aż tak specjalnej uwagi Jazona Kenta., gdyby nie fotografia, umieszczona u góry na lewo od nagłówka artykułu. Pod fotografią był napis: Komandor S. Douglas, nad tym zaś widniało zdjęcie twarzy mężczyzny, w którym Jaz ku swemu niewątpliwemu już teraz przerażeniu poznał kramarza jakiego ścigał w żółtym Lincolnie. Tego samego, którego zatrzymał na Lawrence Avenue i... Boże!

Nie wierząc jednak własnym oczom, szturchnął Cliffa, oglądającego właśnie z radosnym uśmiechem ostatnie zdjęcie Joe Louisa i wskazał mu palcem artykuł.

— Poznajesz go, Cliff.

— Nasz sznurowadlarz!

— Ładny sznurowadlarz, Cliff. To as wywiadu z Secret Service.

ROZDZIAŁ XIII

I ROZUMIE JUŻ WSZYSTKO

Po tych słowach Jaz zagłębił się w milczeniu, a na czole jego zarysowały się dwie głębokie zmarszczki. Nagle, jak w olśnieniu natchnienia zdał sobie sprawę, uświadomił sobie całą sytuację i zrozumiał. Montague Sedgwick — to szpieg! Agent obecnego wywiadu. Jest inwigilowany przez Secret Service, a ponieważ on — Jaz — spotkał się, „skonstatował" z Sedgwickiem, więc i jego wzięto pod obserwację. Jakie to logiczne... aż strach. A Sedgwick zaangażował kapitana Kenta, zamiast kogoś innego, oczekiwanego najpewniej o tej godzinie, kiedy Jaz przyszedł po posadę i... proste, przeraźliwie jasne. I Jazon Kent przyjął propozycję Sedgwicka. Zatem Jazon Kent był szpiegiem.

Szpiegiem mimo woli.

Co za paradoks! Lecz rozumiał już teraz te niedopowiedzenia bankiera, jego półuśmieszki, dwuznaczne słowa i całe zachowanie się. A „kramarz" — to komandor Douglas z Secret Service, as wywiadu, jeden z tych, którym nie powierza się byle drobnostki. Thunderstorm!

Może pójść teraz do najbliższego urzędu policyjnego i zameldować o wszystkim. Lecz Jaz natychmiast odrzucił ten plan. Policja niewiele ma wspólnego z wywiadem politycznym tego rodzaju. A Secret Service na pewno uda, że nic nie rozumie i jeszcze przytrzymają Jaza pod jakimkolwiek pozorem albo i zgoła bez pozoru. Bo skoro Douglas wie coś o Sedgwicku i mimo to dyrektor jest na wolności i nawet działa — to widocznie sprawa jeszcze nie dojrzała do likwidacji dla jakichś istotnych przyczyn, jak barak dowodów, względy polityczne lub sto innych powodów. No, i obowiązek wobec Sedgwicka, a raczej — powiedzmy to sobie po cichu — strach przed zemstą za zdradę. Można to nazwać jakkolwiek, lecz pachniało zdradą.

Musi tu przygotować się nielada afera, skoro z jednej strony Sedgwick wydaje tysiąc dolarów już za taką drobnostkę jak kilka wizyt u Harolda Murray'a i gdy z drugiej strony Secret Service wyznaczył do tej sprawy takiego komandora Douglasa, który aż przebrał się za kramarza i naraził się na to, co go spotkało z Jazem. Teraz rozumiał już skąd sznurowadlarz miał do dyspozycji Lincolna. Z przerażeniem przypomniał sobie Jaz momenty swego zachowania się w czasie rozmów z Sedgwickiem, w konsekwencji których został nazwany przez tego, sprytnym, ostrożnym, odważnym, — kiedy on był po prostu, nieświadomy, i dlatego właśnie... A dom nr. 36 na Logan Square, adres, którego Montague Sedgwick tak się przestraszył — to...

— Jestem. Prawda, że prędko. Czemu pan ma taką kwaśną minę, kapitanie. Może przeżył pan jakąś awanturę. Proszę mi to dać do „Megaphone'u".

Dziennikarka!... Prawie zapomniał... Trzeba mieć się na baczności... Czego Sedgwick — szpieg może szukać w domu Harolda Murray'a, ojca tej pięknej, młodej dziewczyny. I czy Sedgwick to już naprawdę szpieg?

— Co się panu stało? — zaniepokoiła się wreszcie Thelma, a Jaz opamiętał się.

— Nic. Nic — pośpieszył, aby ją uspokoić. — Widzi pani, że jestem zupełnie wesoły. Hopla! Miss Murray. Dokąd pójdziemy. Może na dancing.

Przecież musi iść do niej do domu, na przyjęcie. Rozkaz! Instrukcja! „Poprowadzi pan rozmowę tak, że ona pana zaprosi. Nic trudnego".

Bardzo trudne — teraz, kiedy Jaz wiedział, że... Mój Boże. I co zrobić... Kłamać w dalszym ciągu w żywe oczy i grać rolę narzuconą mu przez Sedgwicka i przez kapryśny los, czy też... Czy też co? Przecież nagła zmiana frontu wywoła tylko śmiech w ustach Thelmy Murray. Ona mu po prostu nie uwierzy, jak wykpiła go wczoraj, gdy oświadczył, że nie ma na zapłacenie rachunku — a potem postawił szampana. Jeżeli teraz znów zacznie mówić prawdę — może się najwyżej narazić na podejrzenie, że ma małego bzika i ze znajomości nici.

Tego nie chciał. Nie z powodu instrukcyj Sedgwicka. Zupełnie niezależnie od stanu faktycznego, a raczej od uzmysłowienia go sobie — Thelma podobała mu się wciąż, a nawet jeszcze bardziej z każdą chwilą obecności w jej towarzystwie. Tak pięknie wygląda w sportowym kostiumie, tak troskliwie zapytała: „Co się panu stało". Zaniepokoiła się, więc i ona coś czuje wobec niego. Nie jest jej zupełnie obojętny. I nie można tak dłużej siedzieć w milczeniu.

— Pardon! Zamyśliłem się nad jakimś osobistym głupstwem. Pani towarzystwo mnie onieśmiela. Idziemy.

Wstał wreszcie i oboje skierowali się ku wyjściu, a Cliff za nimi w nakazanej grzecznością odległości. Wsunęła mu dłoń pod ramię, a on w pierwszej chwili miał ochotę zabronić jej tego, wyrwać się. Niewolno... kłamiesz, kapitanie Jazonie Kent. Cały jesteś w tej chwili jedną wielką manifestacją. Oszukujesz na zimno i siebie i otoczenie. Jesteś jak ten pastuszek, który pierwszy raz zaalarmował fałszywie, a potem, gdy wilki naprawdę przyszły — nikt nie pośpieszył mu na pomoc. Ona też nie uwierzy ci, gdy powiesz prawdę. — Musisz kłamać. A jeżeli już tak — to kłam ładnie, dobrze, z fasonem i szukaj jednocześnie wyjścia. Ono musi się znaleźć.

Z pomocą przyszedł mu wrodzony optymizm. Inny na jego miejscu ujrzałby całą tę historię przez ponure, wypukłe szkła dramatu, ba, tragedii. Dla kapitana Jazona Kenta było to życie, zwariowane, kapryśne, czasem głupie, niekiedy mądre — ale zawsze życie, warte obejrzenia z uśmiechem na ustach. Bo śmiech to zdrowie, i jakoś... to będzie. Ułoży się. Ostatecznie nie powieszą go za to na elektrycznym fotelu w Sing-Sing. A gdyby nawet...

— Ha! — roześmiał się szczerze z własnych myśli i spojrzał w zdumione oczy kobiety, idącej obok niego w kierunku Canal Street. — Przypomniałem sobie głupi dowcip — zaczął pierwszym kłamstwem, tym najtrudniejszym, w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. Jednocześnie postanowił, że powoli, nieznacznie spróbuje przynajmniej przejść na drogę prawdy. Tylko nie nagle, bo to po diable. Festina lente.

— Trzyma mnie pani tak... ufnie. Co pani we mnie widzi, miss Murray?

Błysnęła oczyma, jak rozbawiony orwis.

— Jestem zmęczona i trzymam pana za ramię, aby mi wygodniej było chodzić. A pan co myślał?

— Nic więcej? — nalegał.

— Może i tak. Pan jest jakiś inny niż wszyscy moi dotychczasowi znajomi.

— Czyli rozgrywką dla znudzonej jedynaczki.

— Nie jestem jedynaczką, droga kapitańska Rozrywko! — zaśmiała się również. — Mam brata. Prawie taki dziwak jak pan. Też marynarz.

— Dlaczego dziwak?

— Jak można inaczej nazwać człowieka, który mając bogatego ojca, wyższe wykształcenie i wszystkie możliwości — wstępuje jako zawodowy oficer do Departamentu Morskiego, wstaje codziennie o szóstej a w czasie służby o czwartej w nocy, śpi w koszarach, stroni od kobiet, wałęsa się po morzu całymi tygodniami w znojnej służbie i przyjeżdża do domu raz na pół roku, na krótki urlop. To jest właśnie mój braciszek, pan porucznik Dick.

— Istotnie — bąknął Jaz, ot, aby coś odpowiedzieć i „rozpoznał" dalszy odcinek „frontu". Mógłby przysiąc, że Montague Sedgwick wysyłając kapitana Kenta do domu Harolda Murraya miał właśnie na myśli skontaktowanie się jego z porucznikiem marynarki U.S.A. Navy, Richardem Murray'em, którego jego siostra nazwała dziwakiem.

— Czy pani brat przebywa obecnie w Chicago — zapytał Jaz niewinnym tonem i sam dziwił się swemu opanowaniu i zimnej krwi.

— Przyjechał właśnie wczoraj na swój urlop. Ale co! On nawet urlopu nie umie wykorzystać. Całymi nocami wysiaduje w swym gabinecie nad jakimiś tajemniczymi rysunkami, o których nikomu nie chce powiedzieć ani słowa. A w dzień czyta różne mądre książki o strategii i nawigacji. Żadnych rozrywek, dancingów. Raz na tydzień pójdzie do kina, albo i to nie. Dziwak, powtarzam.

— Młody jest jeszcze?

— Gdzie tam! Trzydzieści lat. Ale z panem, kapitanem marynarki, na pewno będzie rozmawiał. Przepada za tematami marynistycznymi i dyskusja o taktyce w bitwie pod Skagerrak i o manewrach admirała Jellicoe jest dla niego ciekawsza od wszystkiego. Jeżeli chce pan zjednać sobie Dicka, kapitanie — niech się pan zachwyca Nelsonem i Franciszkiem Drake. To jego konik.

Zamilkła naraz zażenowana.

— Proszę nie myśleć, kapitanie, że ja jestem znów tylko taką plotkarką sosjetową i rozkapryszoną córką milionera. Uważam jednak, że na wszystko jest czas — a młody człowiek powinien się trochę wyżyć. Jeden z moich znajomych, lekarz, mówi, że taka abstynencja rozrywkowa powoduje potem skierowanie niewyładowanej przez to energii na patologiczne tory. Mówiłam o tym Dickowi.

— A on?

— Uśmiechnął się tylko tak pobłażliwie, polecił mi iść na tańce — przysięgnę, że Dick nie zna słowa „dancing"! — i zamknął się w gabinecie ze swymi cyrklami, krzywikami, kątomierzami i logarytmometrem, którego konstrukcji nigdy chyba nie potrafię zrozumieć.

Jazon uśmiechnął się tym razem z wymuszeniem, bo myśl jego była gdzie indziej.

— Może technika jest rozrywką dla pana porucznika Murray, i tak jest najpewniej. Pani brat jest inżynierem.

— Konstruktorem — nawigatorem — mechanikiem, można język złamać. Może zmienimy temat.

Jaz uświadomił sobie, że zbytnia natarczywość w tym kierunku może zwrócić uwagę i skinął głową posłusznie. Lecz ku jego zdumieniu Thelma sama podjęła:

— Może pan spróbuje wyrwać Dicka na jeden wieczór z tych kreśleń i do rozprostowania kręgosłupa na krótki okres wytchnienia. Zbliżamy się właśnie do mego domu, a dziś jest u nas przyjęcie. Zapraszam pana i proszę nie odmówić. Niech pan to zrobi... dla Dicka.

Kapitan nie był wprawdzie taki pewny, czy miss Murray zapraszała go z czystej braterskiej miłości — lecz myśl taka nie była mu wcale przykra.

— Dziękuję i przyjmuję zaproszenie — odparł uprzejmie i pomyślał, że widocznie sam los uwziął się na niego w Chicago — aby zrobić zeń szpiega mimo woli.

ROZDZIAŁ XIV

ALE TRZEBA CZEKAĆ

„Sam los uwziął się..." — to się przecież tylko tak mówi. Ot, literackie określenie, mniej, więcej, lub wcale niepiękne, kwestia gustu. Kapitan Jazon Kent nie należał do tych, którzy potrafią założyć ręce i czekać na to co los, lub dobry Pan Bóg da. To jest dobre dla paralityków, głupców i patologicznych, czyli ogólnie się wyrażając: dla ludzi z rodzaju kręgowców-bezmózgowców. Jaz nie miał zamiaru dać się unieść fali, nawet najburzliwszej, nie spróbowawszy przynajmniej ustawić żagiel dla schwytania wiatru. Czy wiatr będzie pomyślny, to już inna sprawa. — Tak postanowił sobie, gdy w towarzystwie Thelmy przekroczył próg eleganckiego, komfortowo urządzonego westibulu.

Lokaj, który im otworzył ukłonił się miss Murray, zapytał ją o zdrowie (bo i za to mu płacono), odebrał walizeczkę, niesioną dotąd przez kapitana i pomógł zdjąć płaszcz kapitanowi i Murzynowi, na którego spojrzał nieco dziwacznie.

— Zostaniesz tu, Cliff — polecił Jaz i zwrócił się do Thelmy. Będzie chyba mógł gdzieś tu poczekać?

— Najlepiej w służbowym. Johm, zaprowadzisz — zwróciła się do lokaja. — Czy pan się z nim nigdy nie rozstaje, kapitanie.

— Lubię go bardzo — odparł ogólnikowo. — Pójdziesz z tym panem, Cliff.

Murzyn zbliżył się do swego pana, niby dla pożegnania jego i miss Murray.

— Niech pan uważa na siebie, captain.

— Well.

Szerokie schody, szklany dach, dywany, marmury, srebrne kraty na kominkach, jedwabiste tapety i kosztowna posadzka — wszystko to wskazywało, że mr. Harold Murray jest zupełnie realnym bogaczem i zarazem estetą. Wszystko było tu dobrane ze smakiem, przepych nie raził, co dowodziło, że właściciel uniknął niebezpiecznej choroby przesady w urządzeniu swego domu; a tak łatwo jest przesadzić w estetyce urządzenia człowiekowi, który ma pieniądze i nie musi się liczyć przy ich wydawaniu.

W poczekalni na pierwszym piętrze wisiał jeden skromny, lecz artystyczny i piękny pejsaż, poza tym gustowne choć kosztowne meble. Thelma wskazała kapitanowi stalowy fotel rurowy.

— Proszę poczekać. Muszę naturalnie przebrać się, a goście zejdą się dopiero o ósmej. Przyszlę panu mego braciszka o ile on jest już w domu i jeżeli uda mi się wyrwać go z zadymionego gabinetu. Powiem mu, że jest tu autentyczny kapitan marynarki, który — mam

nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko tej przesadzie — kocha admirała Nelsona i korsarza Franciszka Drake. Jeżeli pan nie ma papierosów, każę Johnowi przynieść.

Odpowiedział uśmiechem na uśmiech Thelmy.

— Czy lokaj naprawdę nazywa się John?

— Czemu pan pyta?

— Bo nie spotkałem jeszcze w życiu lokaja o innym imieniu.

— Widocznie panowie powieściopisarze mają rację, kapitanie.

— A ja mam papierosy i nie trzeba trudzić Johna.

— Pan ma też literackie zdolności. Stwierdzam to już po raz drugi.

— Zapewniam, że nie popełnię w życiu żadnej książki, nawet w stanie wyższej konieczności.

— Ale ja już muszę wiać... proszę tymczasem pomyśleć o wieczności, kapitanie.

— Wolę myśleć o pani.

— Proszę bardzo. — Skinęła głową i zniknęła w mniejszych drzwiach na lewo.

Jaz pozostał sam ze swą dotąd maskowaną zadumą. Nie łatwo mu było oswoić się z myślą i z faktem, że jest — na razie przynajmniej — szpiegiem. Bo ten fakt pomimo wszystko nie zdawał się ulegać wątpliwości. Komandor Douglas, tajemnicze słowa Sedgwicka, pieniądze niby za nic, polecenie „wejścia w dom" Harolda Murray, no i ten Dick, porucznik, zagłębiony w tajemnych aktach — to wszystko zbyt logicznie wiązało się w całość, aby nią nie było.

Jedno tylko pozostawało niejasne. Jaz był pewny, że on nie mógł być tym, na którego Sedgwick czekał w celu obarczenia go taką misją. Przybył przecież do Chicago jako zwykły petent o posadę, a tu... Chociaż — może to był taki zmyślony sposób werbowania szpiegów wśród ludzi nie mających pracy i chcących jednak dobrze żyć, a więc poniekąt gotowych na wszystko dla zarobku. Może ten cel miało owe ogłoszenie w „New York Herald", w wyniku którego Jaz złożył ofertę dyrektorowi personalnemu banku La Salle'a w Chicago i w konsekwencji czego przyjechał do obcego miasta. A że Sedgwick początkowo uznał sprawę za już nieaktualną — a nuż w celu przeprowadzenia wywiadu personalnego co do osoby kapitana Kenta. Jeżeli tak — to bardzo sprytne! Obcy człowiek, bezrobotny, chciwy zajęcia przyjeżdża do obcego miasta i tu mówią mu: albo, bracie, przyjmiesz zajęcie, które ci ofiarujemy — albo wracaj, nędzarzu skądeś przyjechał! Na sto wypadków można liczyć, że połowa zgodzi się na propozycję — za takie pieniądze, toż to oszołamia — i gotowe.

Ostatnia hipoteza nie była jednak pewna i jakby nie było — ten punkt musiał narazie pozostać nierozstrzygnięty. Nie zmieniał on wszakże faktu, że kapitan Jazon Kent został najzwyczajniej w świecie wciągnięty w jakąś poważną aferę szpiegowską wbrew własnej woli, a nawet pomimo wyraźnego określenia od początku swego stanowiska. Przecież on ani razu nie okłamał Sedgwicka. Mówił mu szczerą prawdę. Bądź co bądź, dziwna historia. Gdyby nie pachniała tak na milę niebezpieczeństwem — byłaby nawet ciekawa. Lecz tak... Jaz był poddanym angielskim, cudzoziemcem, w razie aresztowania pod zarzutem uprawiania szpiegostwa przeciw USA groziła mu śmierć. Wcale miła i pociągająca perspektywa...

Ale co tu na razie robić. W tej chwili — czekać. Postanowił jednak mocno, że tu po opuszczeniu domu miss Murray, rozmówi się stanowczo z Montague Sedgwickiem i teraz — gdy już rozumiał o co chodzi — pogodą z nim nieco inaczej i oświadczymy mu wprost, że on, kapitan Kent — nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego, wyjaśni zaszłe nieporozumienie i koniec. Będzie oczywiście musiał zwrócić pieniądze — ale na to nie ma rady. Poza tym teraz otwierała się przed nim inna perspektywa: poprosi ojca Thelmy o posadę w Truście Transportowym. Znajomość z córką Murraya, bywanie w jego domu — to nie byle co. A dziś protekcja oznacza wszystko. Thelma chyba nie odmówi, gdy Jaz rozmówi się z nią zupełnie szczerze i opowie jej dosłownie wszystko od początku.

Tak więc, uspokoiwszy swe sumienie, rozpogodził się Jaz zupełnie i w duchu dziękował Bogu za obdarzenie go taką optymistyczną naturą. Inny w jego położeniu popełniłby ze strachu kto wie jakie głupstwo, straciłby panowanie nad nerwami i uczyniłby coś, co trudno potem cofnąć. Lecz on był inny. Opanowany, spokojny, a nade wszystko wściekle optymistyczny Jazon Kent, już bez żadnego zmartwienia zapalił papierosa i czekał.

Nie zdążył nawet rozejrzeć się po otoczeniu, gdy otworzyły się duże drzwi na wprost i stanęła w nich wysoka postać mężczyzny w wieku na oko około trzydziestki, ubranego w strój oficera U. S. Navy z galonami porucznika i odznaką absolwenta Szkoły Morskiej w Portsmouth. Sądząc z opisu Thelmy — stroni od kobiet... żadnych rozrywek... zadymiony gabinet... — kapitan spodziewał się ujrzeć osobnika anemicznego o mumiowatej twarzy w binoklach i z kwaśnym wyrazem ust mizantropa. Tu zaś zbliżał się doń bardzo przystojny, barczysty młody człowiek, o opalonej twarzy od wiatrów, słońca i wody, z orlem spojrzeniem w niebieskich oczach i... z pogodnym uśmiechem na wargach. Widocznie już tak musi być, że rodzeństwo nie może o sobie na wzajem wydać obiektywnego sądu.

Jazon wstał natychmiast, przygniótł dopiero co zapalonego papierosa i odkłonił się uprzejmie.

— Kapitan Kent?

— Tak, panie poruczniku Murray.

— Pan wybaczy, że sam się przedstawię, choć widzę, że to już zbyteczne. Siostra powiedziała mi, że pan czeka i aby mnie zachęcić zapewniła solennie, że jest pan zwolennikiem Newtona i Drake'a. Wymieniłem kiedyś jeden raz przypadkowo te nazwiska i...

Uśmiech na ustach porucznika Murray był zaraźliwy i Jazon nie obronił się przed tą infekcją. Zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem inteligentnym i nie głupim.

— Thelma uważa mnie za odludka i dziwaka. Ja zaś uważam ten sąd o mnie za jedno z dziwactw mojej kochanej siostrzyczki.

— Istotnie — wyznał Jaz szczerze. — Gdybym miał wnioskować z opisu miss Murray, oczekiwałem poznania człowieka... niezbyt... zachęcającego — przesadnie zatabaczonego w studiach i badaniach fachowych. Tym przyjemniejsze jest moje rozczarowanie.

Richard Murray skłonił się nieznacznie.

— Biedna Thelma nie ma pojęcia o życiu marynarza i nie pojmuje, że właśnie ten mój urlop w Chicago — który biorę jedynie ze względu na ojca — jest dla mnie męką i duszeniem się w zatęchłej atmosferze wielkiego miasta. Kocham morze, a pan, jako marynarz, na pewno mnie rozumie.

— Zupełnie — przyznał kapitan szczerze.

— Gdzie pan ostatnio żaglował, kapitanie.

— Niestety, jestem bez zajęcia od roku prawie.

— To przykre — stwierdził Murray obojętnie.

— Myślę, że to już nie długo potrwa. Muszę w końcu znaleźć jakiś okręt.

— Przecież Navy Yard chętnie by pana zatrudnił. Mogę nawet dać panu list.

— Bardzo dziękuję, lecz list pana na nic się nie zda.

— Jak to!...

— Jestem Anglikiem.

— Ach! No, tak...

Jazowi wydawało się, że po usłyszeniu ostatniej informacji, o jego narodowości porucznik Murray nagle ochłódł. Czyżby...

— Pan nie lubi Anglików, poruczniku — palnął prosto z mostu, tak, jak on to tylko potrafił.

— Skąd to przypuszczenie.

— Zdawało mi się, że po moim przyznaniu się do nacji mongolskiej — stał się pan nagle mniej — jakby to określić — ...mniej uchwytny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Niedziela, dnia 30 stycznia 1938 r.
8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 10.30 Giacomo Puccini: „Cyganeria" — skrót opery (płyty) 11.30 „Bitwa Narodów pod Lipskiem" — reportaż 12.03 Poranek muzyczny z Poznania 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Suita na orkiestrę smyczkową Adolfa Butzego (transmisja ze studia na wystawie radiowej w Łodzi) 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 18.55 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Druga żona" 19.35 Muzyka taneczna z płyt 21.15 „Humor krakowski na cenzurowanym" — wesoła audycja 21.45 Recital fortepianowy Claudio Arrau 22.25 Muzyka lekka (płyty).

Poniedziałek, dnia 31 stycznia 1938 r.
6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Audycja p. tyt. „W warsztacie rymarza" 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 koncert popularny 17.15 Koncert solistów 18.10 „Uczmy się polskich tańców" 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Dyskutujmy: „Obywatel jako sędzia" 20.00 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne ze stycznia 22.00 Koncert symfoniczny (transmisja z Teatru Wielkiego).

Wtorek, dnia 1 lutego 1938 r.
6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra William Primrose (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci ze Lwowa 16.15 Koncert rozrywkowy (transmisja ze studia na wystawie radiowej w Łodzi) 17.15 Recital śpiewaczy von de Marc Hadour 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „10 zasług 2 występki K. Wl. Wóicickiego" — wieczór liter. 19.30 Polska twórczość chóralna (VII audycja) 20.00 „Europa tańczy" — audycja muzyczno-słowna 20.40 „Przedstawiamy speakerów" — aud. wielkiego konkursu zimowego 21.00 Koncert symfoniczny (ze Lwowa) 22.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 2 lutego 1938 r.
8.00 Audycja poranna 8.15 „Od poranku do północy" — koncert rozrywkowy (płyty) 9.25 Utwory François Couperin (płyty) 10.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Najświętszej Marii Panny w Krakowie 12.03 Poranek symfoniczny 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.50 „Hokus-pokus-dominikus" — audycja dla dzieci 16.15 Koncert kameralny 17.00 „Z dziejów polskiej kawalerii lekkiej" — odczyt 17.15 „Wilcza noc" — audycja muzyczna 17.50 „Dobre serce matki" — pogadanka 19.30 Ostatni raz kolędy — koncert z Katowic 20.00 Melodie taneczne na instrumentach solowych (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Henryka Sztompki 21.45 „Wizyta u lekarza" — skecz 22.00 Muzyka taneczna ze Lwowa.

Czwartek, dnia 3 lutego 1938 r.
6.15 Audycja poranna 11.15 Pieśni ludowe wielkopolskie — poranek dla młodzieży 11.40 Haydn Wood — kompozytor i dyrygent (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży" 16.15 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego 17.00 „O książce prof. Malinowskiego — Życie seksualne dzikich" — odczyt 17.15 „Staromodny śpiewniczek" — lekka audycja muzyczna 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko „Pokusa" 19.30 Ottorino Respighi: Toccata w wyk. J. Zuralewa 20.00 Wieczór operetkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R. i solistów 21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki M. Rusinka 22.00 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki.

Piątek, dnia 4 lutego 1938 r.
6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Miniatury kameralne (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Stanisław Jachowski — przyjaciel dzieci" — audycja dla dzieci z Poznania 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry Wileńskiej 17.00 „Macocha" — pogadanka 17.15 Stara i nowa muzyka na flet — koncert 18.10 „Uczmy się tańców polskich" 18.30 Audycja dla wsi 18.35 „U dawnych mistrzów cechowych" — obrazki z przeszłości rzemiosła 19.30 „Ship ahoy" — rapsodia pieśni marynarzy szwedzkich (transmisja ze Sztokholmu 20.10 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 5 lutego 1938 r.
6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Beethovena (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Słuchowisko dla dzieci „Bajka o niewidzialnym człowieku" (ze Lwowa) 16.15 Koncert chóru „Zjednoczenie" (transmisja ze studia na wystawie radiowej w Łodzi 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.15 Piosenki w wyk. Binga Crosby (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Polska kapela ludowa pod dyr. F. Dzierżanowskiego 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.



REWANŻ

Podczas polowania, woła jeden strzelec do drugiego:

— Ty bydlaku! Teraz o mało nie zabiłeś mojej żony!

— Przepraszam — odpowiada tamten — następnym razem pozwolę ci za to raz wystrzelić do mojej żony!

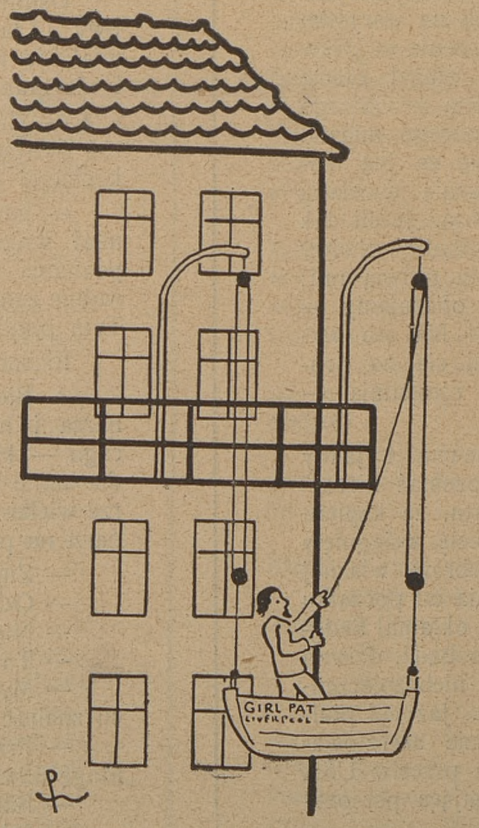
WET ZA WET

W pewnym domu miano odświeżać mieszkanie. Gospodyni spojrzawszy nieufnie, na Bogu ducha winnych malarzy, rzecze do służącej:

— Moja Kasiu, schowaj te dwie butelki wina do kredensu i daj mi klucze.

Wtedy jeden z malarzy wyjmuje z kieszeni zegarek i papierośnicę, a oddając chłopcu, rzecze:

— Oddaj to do domu, bo tu zdaje się jest niepewne miejsce.



Kapitan marynarki na emeryturze.

TY BARDZIEJ!

— Powiedz mi Szarlotko, czy kochać mnie będziesz nawet gdybym był daleko stąd?

— Naturalnie, im dalej będziesz stąd, tym bardziej cię kochać będę.

U DOKTORA

— Pańskie szczęście, żeś przyszedł pan w sam raz!

— No, to jest zupełnie zrozumiałe, panie doktorze, w czasach dzisiejszych wszyscy gotówki potrzebują!

POCHODZENIE CZŁOWIEKA

Lekcja w szkole. Nauczyciel pragnie zbadać dziesięcioletnich uczniów, czy wiedzą coś o pochodzeniu człowieka.

— Karolku, co ty wiesz o powstaniu człowieka.

— Panie, psorze, człowiek — rozpoczyna Karol jąkając się — człowiek...

— Siadaj, ośle! Nie masz najmniejszego pojęcia. Pawełku, teraz ty powiesz, co wiesz o tym.

— Panie psorze, powstanie człowieka... Powst...: Panie psorze, nie było mnie wtedy w szkole...

— Siadaj. Teraz ty, Morycku, co wiesz.

Morycek występuje naprzód z uśmiechem.

— Panie profesorze. Ja przecież wiem, jak powstał człowiek, pan profesor także wie, ale po co ci smarkacze mają się dowiedzieć?

OŚWIATA

Na lekcji rysunków.

— Dlaczego narysowałeś dym z komina zieloną kredką? — pyta nauczyciel.

— Bo na obiad gotowali w domu szpinak.

OBAWA

Do muzeum zoologicznego przyszła mała Zosia z matką. W pewnej chwili dziecko chce pogłaskać tygrysa.

Matka odciąga córeczkę i mówi:

— Ostrożnie, Zosiu, nie podchodź tak blisko, bo może ten tygrys nie jest zupełnie dobrze wypchany.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Młyniczanka". Cieszy nas zainteresowanie się Pani naszym tygodnikiem. Posłaliśmy Jej kilka numerów okazowych. Pozdrawiamy Panią serdecznie!

„Amerykanin". Apelu Pana nie mogliśmy potraktować — mimo sympatii dla Pana — inaczej, jak ogłoszenie matrymonialne, dlatego w „Krainie" nie odpowiadamy. Apel Pana mógłby się tylko ukazać w płatnych ogłoszeniach drobnych naszego pisma.

Posyłamy Panu miłe pozdrowienia.

„Samotny — Chorzów I". Propozycję Pana uwzględniliśmy i odtąd rozwiązania zadań z „Chwili zastanowienia" będzie wolno nadsyłać do piątku, licząc od daty niedzielnej każdego numeru.

P. W. Bereźnicka — Otłoczyn. Donosimy Pani uprzejmie, że rozwiązania zadań z „Chwili zastanowienia" nadsyłane po terminie nie są brane pod uwagę. Prosimy przysyłać je w przyszłości na czas i pozdrawiamy Panią serdecznie.

P. A. Grębkowska — Włocławek. Na zapytanie Pani z dnia 16 bm. odpowiadamy, że owszem, można przysyłać i jedno rozwiązanie, ale do losowania o nagrody wybieramy zazwyczaj tych uczestników konkursu, którzy przysłali oba rozwiązania.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.